

30 dni
Nr 5 (31)
Maj 2001
w tym 7% VAT

INDEX 347566 / ISSN 1506-6487

30 dni

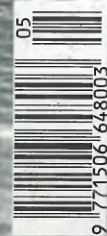
GDAŃSK • GDYNIA • Sopot • POMORZE

WIELKA DŻUMA ROK 1709

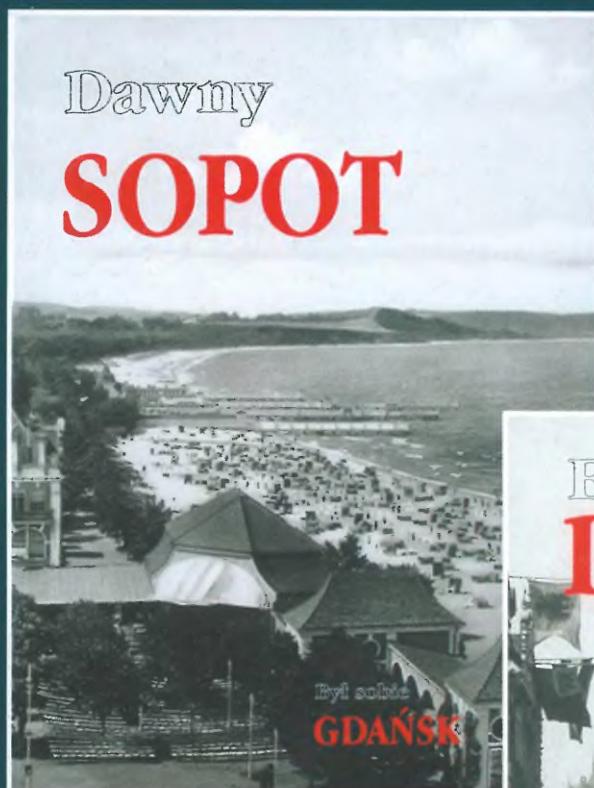


W NUMERZE

ROWEROWA MAPA TRÓJMIASTA

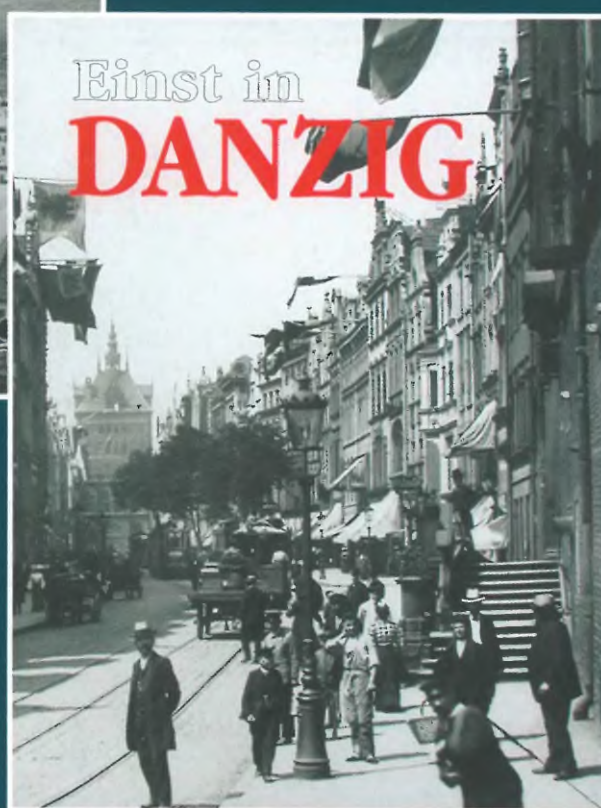


JESZCZE W KSIĘGARNIACH

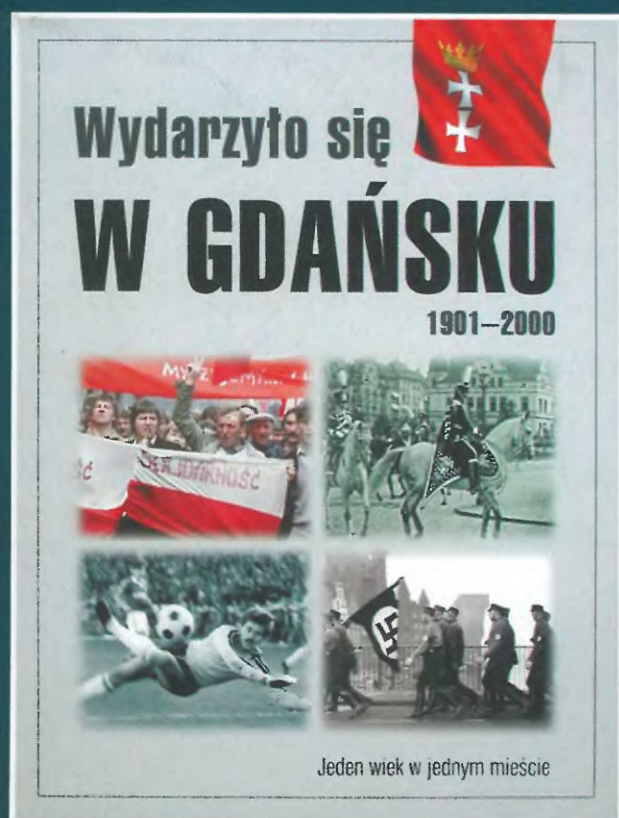


Prezentacja dawnego Sopotu w serii albumowej „Był sobie Gdańsk”. Ponad 170 zdjęć kurortu z lat 1880-1945. Obszerne podpisy do zdjęć, które przybliżają atmosferę tamtych lat.

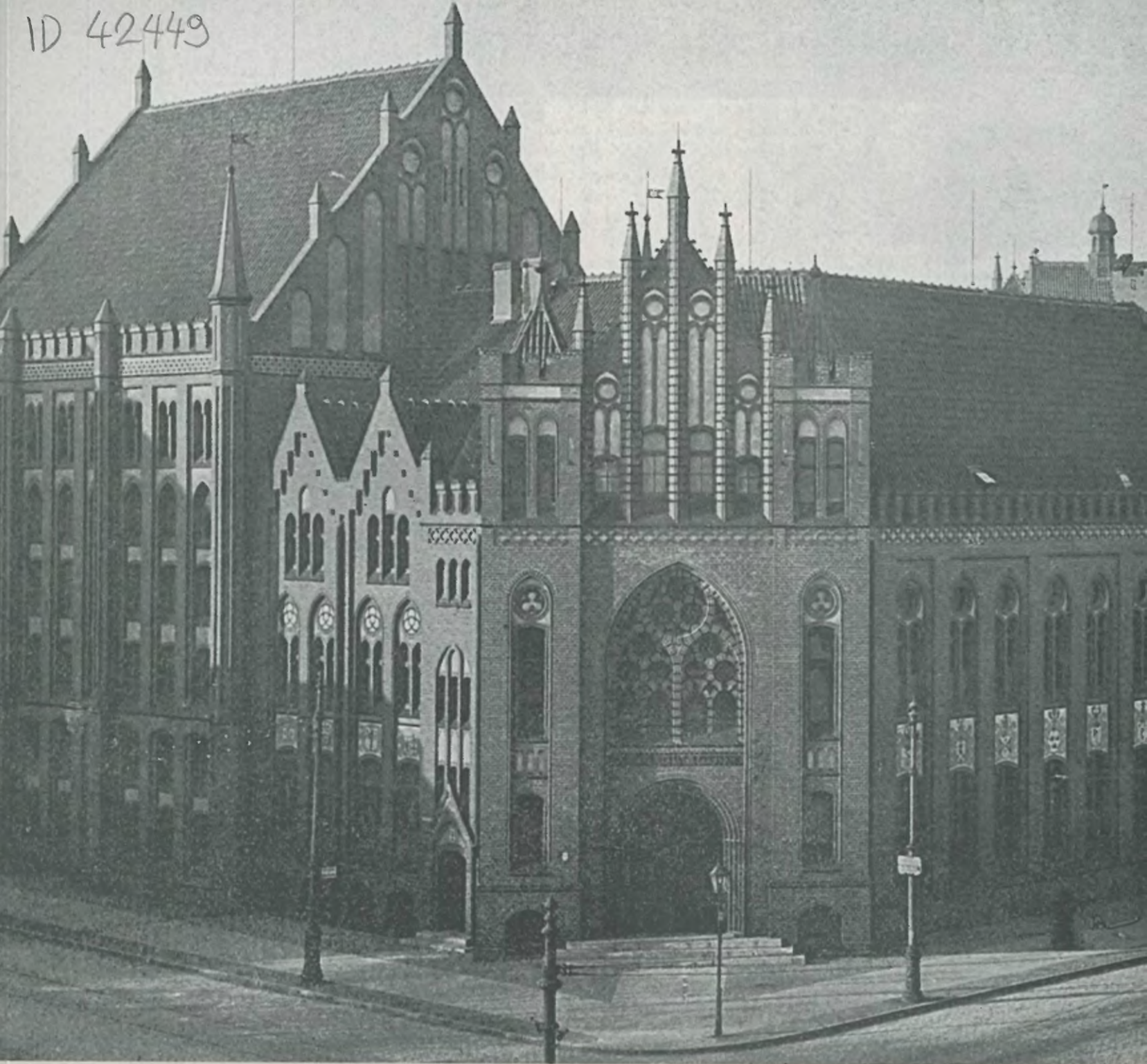
Niemieckojęzyczna wersja pierwszego albumu, który zapoczątkował serię „Był sobie Gdańsk”.



Bogato ilustrowana opowieść o wieku XX w Gdańsku, miejscu, gdzie historia chętnie objawia swoje istnienie.



ID 42449



Miesięcznik „30 Dni” wydaje nam się najlepszym miejscem, by w imieniu Dyrekcji Biblioteki Gdańskiej PAN wyrazić publicznie wdzięczność Zarządowi Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, za przyznanie pokażnej sumy na jej potrzeby. Dzięki tej subwencji Biblioteka Gdańska może jeszcze lepiej chronić swoje bezcenne zbiory.

WOJEWODZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Józefa Conrada Korzeniowskiego
SEKCJA DS. EGZEMPLARZA OBOWIĄZKOWEGO
80-806 Gdańsk, Targ Rakowy 5/6
tel. 301-48-11 do 14 w. 237 fax 301-96-00

Dyrektor
dr Maria Pelczar



Drogą Królewską, od Zielonej Bramy do Ratusza Głównego Miasta, przeszedł kolejny król – Juan Carlos. W ratuszu miało miejsce oficjalne spotkanie z władzami miasta.

Hiszpańska para królewska gościła w Trójmieście 17 maja. Król i królowa złożyli kwiaty pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców i spacerowali po starówce. Z pokładu motorówki Juan Carlos i prezydent Kwaśniewski obserwowali pokazy grupy ratowniczej Marynarki Wojennej, które przeprowadzono na wodach Zatoki Gdańskiej. W Juracie prezydent podejmował króla obiadem.

30 dni LISTY

Parapluja

Szanowna Redakcjo,

Czytając, jak zwykle z zaciekawieniem, ostatni numer pisma, natrafiłam na tłumaczenie pocztówki „Pozdrowienia z deszczowego Gdańska”. Pragnę wyjaśnić, że „parapluja” może być spolszczoną wersją francuskiego słowa „parasol” (od deszczu) – „parapluie”. Słowo to brzmi bardzo podobnie także w języku szwedzkim – „paraply”.

Pozdrawiam
Joanna Skibicka

Szanowna Redakcjo,
W ostatnim numerze „30 Dni” na stronie 51 zastanawiał się, co to jest parapluja. Otóż, jest to gwarowe, żartobliwe określenie damskiej parasolki. Słowo jest wzięte od słowa francuskiego „parapluie”, którego używały wytworne panie. Służące zrobiły z tego parapluje. To określenie parasolki było używane w naszym domu, w rodzinie śląsko-poznańskiej. Przypuszczam, że dostaniecie Państwo komentarz i od innych starszych wiekiem osób.

Łączę pozdrowienia
dr Hanna Domańska

Szanowna Redakcjo!
Prosiłście Państwo w ostatnim numerze o wyjaśnienie terminu „parapluja” (str. 51). Otóż, niemiecki słownik wyrazów ob-



FOTO: KRAJSTOF GRANIER

cych Augusta Heyse z 1853 roku wyjaśnia termin „parapluie” jako parasol – Regenschirm. Nazwa pochodzi od greckiego para – przeciw i francuskiego pluie – deszcz.

Jednocześnie przepraszam, jeżeli cała polemika wokół śp. gen. C. Betzela doprowadziła kogoś do irytacji. Po prostu, w utarczках słownych (niestety, spokojna naukowa dyskusja nie zawsze jest możliwa) łatwo stracić dobry ton i maniery.

Z wyrazami szacunku
KPW Jakimowicz

Parapluja?! Ależ, drodzy Państwo – po prostu... parasol. Tyle, że po francusku. Parapluie.

Cóż... w 1902 wiedział o tym każdy gimnazjalista...

Z pewnością nie jestem pierwszy z tą rewelacją.

Pozdrowienia
Janusz Czerwiński

Od redakcji:

Serdecznie dziękujemy za te oraz pozostałe, nieopublikowane listy w tej sprawie. Mają one tę samą konkluzję: „parapluja” – po prostu „parasol”.

Droga do Opackiego Młyna

Szanowna Redakcjo,

Jestem stałym czytelnikiem miesięcznika „30 Dni”. Z ogromną przyjemnością i ciekawością przeczytałem artykuł „Droga do Opackiego Młyna”, ponieważ dotyczy on okolicy,

(obecnie Elmor). Ja i brat kontynuowaliśmy naukę w Szkole Podstawowej nr 18. Byłem wtedy uczniem pierwszej klasy.

Dlatego czuję się upoważniony do sprostowania nieprecyzyjnego tekstu wspomnianego artykułu (str. 61, pierwsza kolumna, trzecia linijka od dołu), z którego wynika,

jakoby Szkoła Podstawowa nr 18 mieściła się w budynku przy ulicy Konrada Lezczkowa 1A. Otóż, szkoła mieściła się w prawej połowie budynku (od strony

torów kolejowych) dawnej szkoły dwuoddziałowej przy Neuschottland (zdjęcie na str. 61). Gwoli ścisłości dodać należy, iż w lewej połowie mieściła się Szkoła Podstawowa nr 28.

Dzieci z ulicy Karola Marksa (obecnie Hallera) uczęszczały do

„osiemnastki”, a dzieci, między innymi, z ulicy Żywieckiej do „dwudziestki ósemki”. Wyszło tak, że dzieci z jednego podwórka uczęszczały do dwóch szkół w jednym budynku.

W roku 1958 po wybudowaniu nowej Szkoły Podstawowej nr 52 przy ulicy Kościuszki, której pierwszym kierownikiem był pan Józef Piórecki, ojciec mojego przyjaciela z szkolnej ławy Jurka Pióreckiego, z którym pomimo upływu czasu spotykam się kiedy pozwala nam na to czas, dzieci z ulicy Marksa zostały przeniesione do nowej szkoły.

Z tamtego okresu mam bardzo wiele wspomnień dotyczących rozwoju tej okolicy Gdańska – powstawania całej dzielnicy „stoczninowej”, ulic, linii tramwajowej, Brzeźna, Zasp. Było to moje dzieciństwo i zawsze kiedy jestem w tym miejscu, a mieszka tutaj moja córka, wspomnienia ożywają. Jest to jednak temat na inny czas.

Z poważaniem
Janusz Janiszewski



FOTO: SŁAWOMIR PULITYN

w której wychowywałem się i jako dziecko mieszkalem.

Do Gdańska przyjechałem z rodzicami z Ustki w marcu 1954 roku. Zamieszkaliśmy na rogu ulic Żywieckiej i dawnej Karola Marksa. Ojciec pracował w ówczesnych Zakładach N 11



Na okładowym zdjęciu zmęczony, a może tylko znużony, dorożkarz drzemie w koźle, trzymając mocno lejce w rękach. Ale dla samego miasta nie był to czas drzemki. Przeciwnie, lata przełomu XIX i XX wieku, a także pierwsze dziesięciolecie minionego stulecia, widziane z dzisiejszej perspektywy, można bez przesady traktować jako lata boomu budowlanego. Na miejscu niwelowanych wałów wznoszono całe dzielnice, które – gdyby przetrwały – nadawałyby Gdańskowi prawdziwie wielkomiejski charakter. Budowano liczne gmachy użyteczności publicznej, jak Archiwum Państwowe, wydłużano linie tramwajowe.

Nie da się porównać tamtego ożywienia budowlanego z dzisiejszym. Możemy wprawdzie powiedzieć, że w ostatnim dziesięcioleciu w Gdańsku, Sopocie i Gdyni znacznie wzrosła liczba nowych inwestycji, ale – w zaskakująco zgodnej opinii wielu obserwatorów – jest to relatywnie mało, kiedy się zestawia z tym, co dzieje się w innych polskich miastach, takich jak Wrocław, Kraków czy Poznań.

Dlatego wydało nam się celowe, aby przyjrzeć się nowym gdańskim budowlom. Nasza próba jest tylko wstępnym szkicem. Wiemy, że nie kataloguje w sposób pełny wszystkich przedsięwzięć inwestycyjnych, a do tego zupełnie nie uwzględnia budownictwa mieszkaniowego. Ale w zarysach stara się oddać zmiany w miejskim pejzażu, które zajdą w najbliższych dwóch latach.

Redakcja



FOTO: LESZEK J. PEKAŁSKI

28

Leśne zawilce na sopockich kurhanach

Występujące w okolicy Wielkiej Gwiazdy pewne formy ziemne, które większość odbiera jako naturalne wybrzuszenia terenu, Mieczysław Haftka kwalifikuje jako kurhany. Jeszcze nikt ich nie zbadał, wydaje się zatem, że za wcześnie na śmiałe wnioski. Wiele jednak przemawia, że to prastare mogiły.



FOTO: STANISŁAW FLIS / AP GUNICKA

20 Sto lat w archiwum

Na kilkunastu zdjęciach obejrzeć możemy sto lat burzliwych dziejów gdańskiego Archiwum Państwowego, tak instytucji jak i gmachu, w którym gromadzone są zbiory.



FOTO: F. MÜLLER / ZBIORY PRYWATNE

42 Ale cyrk!

„Na chodnikach ulic, którymi przeciągał pochód, utworzył się szpaler z przechodniów i młodzieży szkolnej z niższych klas, którą specjalnie zwolniono z ostatnich godzin lekcji, aby umożliwić jej wzięcie udziału w darmowym widowisku pierwszej klasy” – donosiła „Gazeta Gdańska”.

30 dni PROPONUJE

30dni

Gdańsk, Gdynia, Sopot i Pomorze

Miesięcznik ilustrowany, pomagający lepiej poznać i bardziej pokochać Gdańsk, Gdynię, Sopot i Pomorze Gdańskie

Nr 5 (31) Maj 2001

Wydawca: Millenium Media Sp. z o.o.

Adres Redakcji i Wydawcy:

ul. Szeroka 121/122, 80-835 Gdańsk

Telefon i fax: (0-58) 301 61 34

e-mail: 30dni@use.pl

www.kocham.gdansk.pl

Prezes Zarządu:

Grzegorz Fortuna

Layout:

Milosz Rączkowski, Jarosław Szopiński

Opracowanie graficzne:

Małgorzata Pultyn

Zespół i współpracownicy:

Mieczysław Abramowicz,

Tadeusz Glusko, Piotr Michalski,

Agnieszka Rapińska, Marek Trzebiatowski

Projekt redakcyjny i wydawniczy numeru:

Lech Parell, Grzegorz Fortuna, Wojciech Duda i inni

Fotografie:

Krzysztof Jakubowski, Agencja Kosycarz Foto Press,
Maciej Kosycarz – Łukasz Głowala – Wojtek Jakubowski

Archiwa:

Biblioteka Gdańska PAN, Archiwum Państwowe w Gdańsku,
Muzeum Narodowe Gdańsk, zbiory prywatne: Janusza Hebdy,
Marka Knoblauch i inne

Reprodukcje zdjęć:

Andrzej Kotecki

Naświetlanie:

DualArt Sp. z o.o. w Gdańsku

Druk:

Stella Maris, Gdańsk

Reklama:

Prosimy o kontakt z wydawcą tel. 301-61-34

Prenumerata:

zamówienia przyjmuje wydawca. Opłatę (3 miesiące – 27 zł,
6 miesięcy – 54 zł, rok – 108 zł) należy wpłacać na konto:
Millenium Media Sp. z o.o.

BANK KOMUNALNY S.A. O/GDAŃSK 14401097-491-27001

Wysyłkę rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dacie wpłaty.

**Numer archiwalny do nabycia redakcji lub
w EMPIK Megastore, Podwale Grodzkie 8 (City Forum)**

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzega sobie
prawo skracania i adiacji tekstów, a także zmiany ich tytułów.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczonych reklam i ogłoszeń

ISSN 1506-6487

Partnerem tego wydania miesięcznika 30 dni jest

PROKOM
SOFTWARE S.A.

Listy 4, 63, 64

Gdańsk z widokiem
na zmiany 8

W ostatnim półwieczu
wybudowano w Gdańsku trzy razy
więcej budynków niż w pozostałych
dziewięciu pięćdziesięciu latach
istnienia miasta. Najbliższe kilka lat
to również perspektywa zmian.
Także w najbardziej strategicznej
części - śródmieściu.
Próbujemy dokonać krótkiego
przeglądu inwestycji, które zmienić
mogą gdański pejzaż w najbliższych
dwóch latach.



FOTO: AUTORSKA PRACOWNIA PROJEKTOWA STUDIO M

Sto lat w archiwum 20

Leśne zawilce
na sopockich kurhanach .. 28

**Panoramyczna mapa
rowerowa Trójmiasta
rozkładana na cztery strony**

Różności 35

Opowieść
o Adamie Vay de Vaya 35

Głębia, piasek, cegły ... 38



FOTO: AP GDANSK

Od strony morza party na ujście
przybrzeżne prądy, napędzające
piaszczyste potoki rumowiska.
Głębia między redą a wejściem
portowym była bezustannie
zasypywana tak przez rzekę
jak i przez morze.
Gdańszczanie walczyli o nią,
budując specjalne śluzy i mola
dla kontrolowania napływu
nowych ton piasku i mułów.

Ale cyrk! 44

**Zaginione obrazy
Reinholda Bahla 47**

W ostatniej fazie wojny zaginęło
lub uległo zniszczeniu wiele
gdańskich dzieł sztuki.
Pokazujemy cztery zaginione
widoki Gdańska, namalowane
w 1943 roku przez Reinholda Bahla,
których zdjęcia zachowały się
w archiwum Muzeum Narodowego.

Galeria 50

Wielka dżuma 1709 52

Aby zapobiec rozprzestrzenianiu
się zarazy stosowano środki,
które dziś wywoływałyby grozę
lub uśmiech. Do ust nieboszczykom
wkładano świeży chleb, który wedle
powszechnej opinii miał pochłaniać
toksyny. Po mieście krążyła potem
plotka, że część tego chleba trafiła
do sprzedaży, powodując kolejne
zachorowania. Zapobiegawczo



nacierano otwory nosowe
substancjami balsamicznymi.
By oczyścić powietrze, zalecano
palenie jałowca lub suchego
końskiego nawozu.
Domy wykadzano siarką, smołą,
mirrą, benzoem, żywicą,
kadzidłami lub saletrą.

**Powrót do cmentarzy,
których nie ma 60**

Dzięki listom i uwagom
czytelników zlikwidowane
gdańskie cmentarze nie zaginęły
całkowicie. Pozostają w pamięci,
we wspomnieniach a czasem
odnajdujemy ich szczątki
w miejscach, w których
się ich nie spodziewamy.

Wydawnictwa 66

Na okładce: Dorożka na Długim Targu,
około 1915, ze zbiorów BG PAN.

GDAŃSK Z WIDOKIEM NA ZMIANY

Panorama miasta w 2003 roku

Tekst: Magda Chrzan, Marek Trzebiatowski

Foto: Sławomir Pultyn

W tej części miasta pojawiło się stosunkowo dużo nowych inwestycji. Po lewej widzimy dźwig i wznoszony nowy gmach Biblioteki Gdańskiej PAN. Pośrodku, drugi dźwig i wykopy pod centrum handlowe Heweliusz, nieco dalej (przy budynku NOT) kolejny wykop pod multiplex. Po prawej, przy Podwalu Grodzkim widzimy budowę kompleksu kinowego „Krewetka”.



W ostatnim półwieczu wybudowano w Gdańsku trzy razy więcej budynków niż w pozostałych dziewięćset pięćdziesięciu latach istnienia miasta. Najbliższe kilka lat to również perspektywa zmian. Także w najbardziej strategicznej części – śródmieściu.

Patrząc na zabytkowy zespół Głównego Miasta trudno uwierzyć, że podczas wojny zniszczony został w około 90 procentach. Oprócz kościoła św. Mikołaja i Hali Targowej zachowało się jedynie kilka sąsiednich kamienic, kilkanaście w okolicach kościoła św. Jana i kilka w pozostałych miejscach starówki.

Stale rozwijające się miasto zmuszone jest nadążać za zmieniającymi się wymaganiami. Projekty większych zmian architektonicznych budzą jednak wśród gdańszczan dyskusje i wiele kontrowersji, tak jak to było w przypadku projektu przebudowy Targu Węglowego czy realizacji City Forum przy gdańskim dworcu.

- Dla mnie pewnym wyznacznikiem współczesnego miasta jest Berlin – mówi

Konrad Pławiński, prezes Oddziału Wybrzeże Stowarzyszenia Architektów Polskich. – A w sytuacjach gdy mam wypowiedzieć się na temat rozwoju architektonicznego Gdańska, chętnie posługuję się Asnykiem – „Daremnne żale, próżny trud, bezsilne złoże. Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”.

W śródmieściu Gdańska prowadzonych jest obecnie kilka dużych inwestycji. Przy

ulicy Wałowej budowany jest nowy gmach Biblioteki Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk. Przy Podwału Staromiejskim odnawiana i przebudowywana jest Hala Targowa. Na Ołowiance Polska Filharmonia Bałtycka już od 1997 roku przebudowuje i zagospodarowuje dla własnych potrzeb budynek dziewiętnastowiecznej elektrociepłowni i pochodzący z XVI wieku Spichlerz Królewski. W pobliżu dworca PKP budowane jest cen-





Multipleks „Krewetka”, który stanie między Podwalem Grodzkim i ulicą Karmelicką

trum handlowe oraz dwa multipleksy. Jeden z nich – inwestycja pod nazwą City Forum II – gotowy będzie w tym roku. Przy hotelu Heveliusz zbudowane zostanie centrum handlowe.

Zmiany zapowiadają się także w innych dzielnicach Gdańska. Na Przymorzu, w okolicy skrzyżowania ulicy Kołobrzeskiej z ulicą Krynicką powstanie piąty trójmiejski multipleks. Do listopada wy-

kończony zostanie Wydział Prawa Uniwersytetu Gdańskiego przy ulicy Bażyńskiego. Przy ulicy Traugutta powstaje Wydział Zarządzania Politechniki Gdańskiej. We Wrzeszczu, przy alei Grunwaldzkiej, do

Po lewej multipleks „Krewetka”. Ulica Karmelicka stanie się deptakiem





końca tego roku oddane zostaną dwa biurowce: sześciokondygnacyjny obiekt budowany przez firmę Vigo i kompleks firmy Hossa. W listopadzie tego roku, niemal naprzeciwko nowych biurowców, w pobliżu dworca kolei SKM na Zaspie, otworzona zostanie nowa siedziba klubu studenckiego „Żak”.

Vision kontra Portico

Multipleks firmy Vision i budowane przez firmy Portico Group i Silver Screen Cinemas centrum kinowo-rekreacyjne to już kolejne tego typu obiekty na terenie Trójmiasta. Pierwszy kompleks kinowy – Silver Screen – zainaugurował swoją działalność w Gdyni w lutym ubiegłego roku. W listopadzie 2000 roku obok Opery Bałtyckiej w Gdańsku otwarte zostało Multikino.

Tak ma wyglądać centrum handlowe Heweliusz przy ulicy Rajskiej



Multipleksy budowane obecnie w centrum Gdańska dziwią mieszkańców swoim bliskim sąsiedztwem: oba centra znajdują się mają niemal naprzeciwko siebie. – Byliśmy bardzo zaskoczeni decyzją władz Gdańska, które wydały firmie Vision pozwolenie na budowę dosłownie przy naszym multipleksie – mówi Roman Jarosz, dyrektor marketingu Portico Group, nadzorującej inwestycję w Gdańsku. Swojego zdziwienia nie kryją też architekci z SARP-u.

Jako pierwszy powstanie multipleks „Krewetka”, budowany przez firmę Vision. Tak właśnie, na cześć „kultowego” baru rybnego mieszczącego się w tym miejscu przez ponad trzydzieści lat, będzie nazywał się obiekt wznoszony u zbiegu Podwala Grodzkiego i ulic Karmelickiej i Elżbietańskiej, w sąsiedztwie dawnej siedziby Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a obecnie budynku, między innymi, Prokuratury Okręgowej.

Multipleks będzie miał kształt nieregularnego prostokąta. Na pierwszym piętrze znajdą się sklepy i restauracje. Dla kinomanów najważniejszy będzie jednak parter i ostatnie piętro „Krewetki” – tam znajdą się sale kinowe. Na łącznej powierzchni pięciu tysięcy metrów kwadratowych rozmieszczonych będzie dziewięć sal kinowo-konferencyjnych.

Inwestor, firma Vision Distribution, znany był dotychczas przede wszystkim z rozpowszechniania filmów. Pozwolenie na budowę Vision otrzymało od gminy Gdańsk pod koniec ubiegłego roku. W styczniu na półhektarowej działce rozpoczęły się prace budowlane. Koszty budowy i wyposażenia „Krewetki” szacowane są na ponad 10 milionów dolarów.

Drugi kompleks kin stanie dosłownie o rzut beretem, bo przy ulicy Rajskiej, koło hotelu Heweliusz i budynku NOT. Prace przygotowawcze wymagają jeszcze kilku miesięcy. Budowa zacznie się na początku przyszłego roku i potrwa czternaście mie-

sięcy. Otwarcia multipleksu spodziewać się można na początku 2003 roku. Inwestycja prowadzona jest wspólnie przez firmy Portico Group i Silver Screen Cinemas. – Za każdym razem staramy się mile zaskoczyć znających już nasze kina klientów – opowiada Jarosz. – Estetyka Silver Screen jest już gdańszczanom znana z gdyńskiego multipleksu Gemini, ale w gdańskim centrum można spodziewać się paru niespodzianek. W multipleksie znajdzie się kilkanaście sal kinowych gotowych na jednorazowe przyjęcie blisko czterech tysięcy kinomanów. W podziemiu zaprojektowano dwupoziomowy parking na czterysta samochodów.

Portico Group i Silver Screen Cinemas również nie kryją rozgoryczenia, że konkurencja wyrośnie im tuż pod oknami i to znacznie wcześniej. – Warunki dotyczące budowy i zagospodarowania tego terenu uzgodniliśmy wcześniej niż firma Vision. Jesteśmy jednak gotowi konkurować. W przeciwieństwie do Vision mamy doświadczenie w prowadzeniu kin. Wiemy, co w tego typu działalności jest naprawdę ważne, jak zaspokoić wymagania trójmiejskiej publiczności – twierdzi Jarosz.

Trójmiejska publiczność – jak wynika z obserwacji frekwencji w gdyńskim Silver Screen – ma swoje charakterystyczne wymagania. W porównaniu z publicznością warszawską znacznie chętniej ogląda filmy polskie. Większą popularnością cieszą się też na Wybrzeżu komercyjne filmy amerykańskie, ale znacznie mniej osób przychodzi na filmy niezależnego kina zza oceanu.

Kina przy Rajskiej konkurować będą z „Krewetką” pod względem wyposażenia sal kinowych, wygodnego dla kinomanów rozplanowania obiektu. Dodatkowym atutem multipleksu ma być innowacyjna, nowoczesna architektura. W sierpniu 1998 roku SARP Oddział Wybrzeże rozstrzygnęło konkurs na projekt multipleksu. Z osiemnastu nadesłanych projektów wybrano koncepcję mieszkającego w Wiedniu architekta, Andrzeja Kapuścika.

– W związku ze zmianą profilu części handlowej kompleksu przy Rajskiej na bardziej rekreacyjną do projektu pana Kapuścika konieczne jest wprowadzenie kilku poprawek. Przy Rajskiej istnieją już i są budowane centra handlowe, więc musieliśmy zmienić pierwotny zamysł, ale trudno jeszcze mówić o konkretnych rozwiązaniach, które znajdują się w multipleksie. Być może urządzimy tu kręgielnię i miejsca do uprawiania innych sportów, ale nie jest to jeszcze ostatecznie postanowione – opowiada Jarosz.

Jednym z centrów handlowych będzie obiekt o nazwie Heweliusz, który stanie przy Rajskiej między ulicą Gniłą i Heweliusza, a wznoszony jest przez firmę Hossa.



Nowy gmach Biblioteki Gdańskiej PAN wznoszony jest przy ulicy Wałowej

Czwarta siedziba zbiorów Bonifacia

Przy ulicy Wałowej, niemal naprzeciwko starego, wybudowanego w 1905 roku gmachu, powstaje nowy budynek Biblioteki Gdańskiej PAN. Będzie to już czwarta siedziba biblioteki od początku jej istnienia. Pierwsze zbiory Biblioteki Senatus Gedanensis umieszczone były w klasztorze pofranciszkańskim przy Gimnazjum Akademickim. W XIX wieku biblioteka przeniesiona została do kościoła św. Jakuba. Sto lat później zbiory trafiły do budynku przy ulicy Wałowej 15. W pierwszych latach XXI wieku czekają je następne przenosiny. Budowa była koniecznością od kilkudziesięciu lat. Po stu latach działalności w gmachu przy Wałowej w magazynach zgromadzono trzy razy więcej woluminów niż ich zakładana „pojemność”. Doktor Maria Pelczar, dyrektor Biblioteki wielokrotnie zwracała uwagę na trudne warunki panujące w tej najcenniejszej gdańskiej bibliotece. Magazyny są przepelnione, książki ustawiać trzeba na regałach w kilku rzędach, a to powoduje, że wydłuża się czas obsługi czytelników, a częste przestawianie woluminów może też prowadzić do ich niszczenia.

Profesor Zbigniew Nowak, który kierował Biblioteką w latach 1981-1997, przypomina, że dopuszczalną – przy tej pojemności magazynów – liczbę 250 tysięcy, księgozbiór osiągnął już w latach pięćdziesiątych.

Dyrektor Pelczar udało się urzeczywistnić plany budowy nowego gmachu, gdy szkoła muzyczna zrezygnowała z budowy w tym miejscu internatu i odsprzedała teren Polskiej Akademii Nauk. Do przetargu ogłoszonego w 1999 roku stanęło kilka projektów. Wygrał sporządzony przez architekta Narcyza Sienkiewicza. – Był najbardziej funkcjonalny, w projekcie uwzględniono stworzenie parkingu, a taki warunek postawiło miasto – opowiada inż. Adam Czernichowski. Budynek, posiadając charakterystyczne załamania, nawiązuje architektonicznie do sąsiadującej z nim kamienicy.

Powierzchnia użytkowa nowego, sześciokondygnacyjnego gmachu, liczyć będzie prawie 5 tysięcy metrów kwadratowych. Magazyn zajmie w nim cztery piętra. Wypożyczalnia zostanie w nowoczesne ruchome regały. W budynku znajdzie się czytelnia czasopism i przeznaczona na około sto

miejsce czytelnia ogólna. W piwnicach będzie parking samochodowy.

Truciciel melomanem

Ołowianka już od trzech lat jest siedzibą Polskiej Filharmonii Bałtyckiej. W najbliższych latach wyspa, słynąca jeszcze nie tak dawno głównie z zadymania i zatrucia miasta, ma stać się trójmiejskim centrum muzyczno-kongresowym.

Na pomysł, aby tak zagospodarować dziewiętnastowieczny ceglany budynek elektrociepłowni i spichlerza z XVI wieku, wpadł profesor Roman Perucki, dyrektor filharmonii. Podczas podróży po Szwecji brał udział w koncertach odbywających się właśnie w takich poprzemysłowych budynkach.

– W tym czasie elektrociepłownia na Ołowiance, główny truciciel miasta, płaciła tak duże kary za zanieczyszczanie środowiska, że produkcja prądu niemal przestała się opłacać – opowiada Andrzej Orzel, dyrektor marketingu Polskiej Filharmonii Bałtyckiej. – Pomysł zaadaptowania wyspy dla potrzeb Filharmonii udało się zaszczyć obecnemu marszałkowi Sejmu, Maciejowi Płażyńskiemu i rajcom Gdańska.

Muzyczna działalność Ołowianki zapoczątkowana została w 1997 podczas Gdańskich Dni Muzycznych. – Na tle pięknie oświetlonej starówki, urządziliśmy prawdziwie wenecką noc z gondolami na Motławie, podczas której odbył się koncert Pietro Balli – opowiada Orzeł.

Od tego czasu co roku w lecie w amfiteatrze odbywają się koncerty rockowe, jazzowe i jassowe. Zespoły grają na wyspie, a publiczność słucha na położonym po drugiej stronie Motławy Targu Rybnym. – W ten sposób dysponujemy widownią na 10 tysięcy miejsc – mówi Orzeł.

W tym roku, 1 lipca, w amfiteatrze wykonany zostanie muzyczny kolaż „Na dobry początek muzycznego lata”, zaaranżowany przez Jana Walczyńskiego. Orkiestra Polskiej Filharmonii Bałtyckiej wykona utwory Elvisa Presleya. Solistami w tym niezwykle koncercie będą saksofoniści: Jan Ptaszyn Wróblewski, Henryk Miśkiewicz i Maciej Sikala. Podczas Jaromarku św. Dominika wystąpi Lucja Aliberti, według krytyków trzeci lub czwarty sopran świata.

Projekt budowy Ołowianki cieszy się dużą popularnością w muzycznym świecie. – Krzysztof Pendrecki jest gotów specjalnie na okazję otwarcia sali głównej skompono-

Kompleks budynków filharmonii na Ołowiance

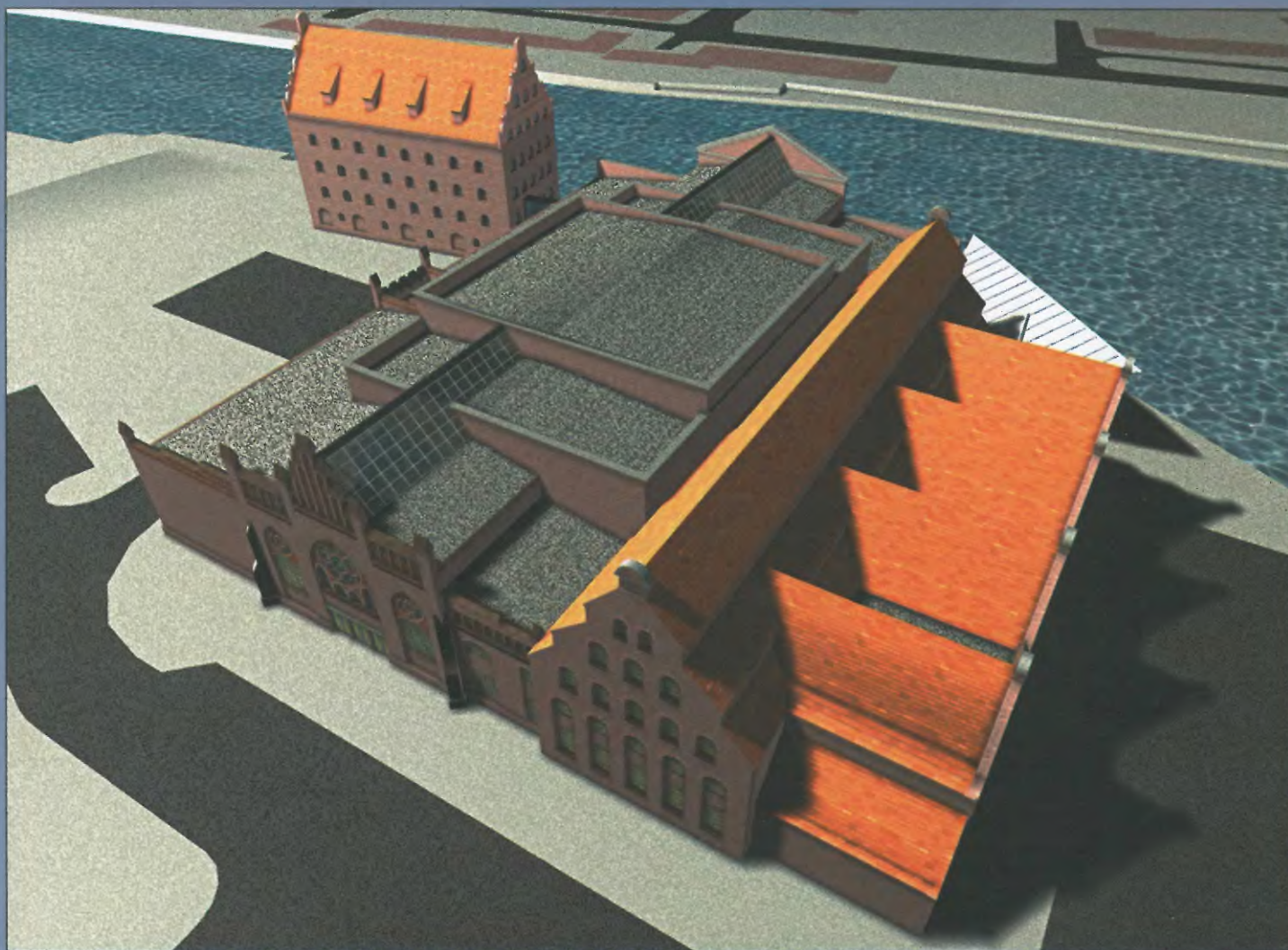


Elewacja budynku filharmonii

wać utwór, a Krystian Zimmermann, który zobaczył filharmonię w stanie głębokiego remontu, niezrażony tym oświadczył, że w tejże sali jest gotów zagrać na pierwszym koncercie – mówi Orzeł.

Na widowni otwartej w kwietniu tego roku Sali Kameralnej mieści się 220 osób.

Na scenie może wystąpić 44 muzyków. – Teraz czekamy na dobudowanie sali głównej z miejscem na 1000 osób. Powstanie pierwsza sala koncertowa w Polsce, w której będzie można spojrzeć w oczy dyrygentowi. Scena ma przypominać ring, a widowie będą siedzieli wokół niej. Podczas wiel-



kich oratoriów miejsce za sceną zajmować będzie chór. Termin pełnego ukończenia inwestycji uzależniony jest od pieniędzy. Myślę, że pierwszy koncert w nowej sali odbędzie się w 2003 roku – mówi Orzeł.

Większość pieniędzy Filharmonia otrzymuje od sponsorów. Do tej pory adaptacja pochłonęła 12 milionów złotych. Cała inwestycja kosztować ma 72 miliony złotych. By przyciągnąć więcej sponsorów i gości, Ołowianka będzie nie tylko centrum muzycznym, ale i konferencyjnym, a także najprawdopodobniej – sportowym.

Ołowianka ma już dwa zamówienia na zorganizowanie konferencji. Kongresy odbywać się będą w sali głównej, goście będą mogli zamieszkać w ekskluzywnym hotelu. Powstanie on w dawnym Spichlerzu Królewskim. Obecnie, w częściowo już odnowionym budynku, mieszczą się biura Filharmonii. Zostaną one przeniesione, gdy zakończy się remont dawnej elektrociepłowni. W siedemnastowiecznym hotelu-spichlerzu będzie 150-200 apartamentów. Najbardziej luksusowe, z widokiem na cały Gdańsk, powstaną na ostatnim piętrze. W czterech kamieniczkach, które jeszcze nie są formalnie własnością filharmonii, wybudowana zostanie hala sportowa przeznaczona dla „cichych sportów”. Na wysokości dziobu „Soldka”, w Spichlerzu Królewskim, będzie kawiarnia. W budynku sali głównej znajdzie się pub i restauracja. Przy rufie „Soldka” powstanie mały park. W amfiteatrze, gdy nie będą odbywać się tam koncerty, znajdować się będzie kolejna kawiarnia. Z Długiego Pobrzeża na wyspę prowadzić ma „wenecka kładka”.

Targowa piękność

Od początku tego roku wykopy i prace remontowe prowadzone są przy Hali Targowej. – Budynek, pochodzący z 1896 roku, nigdy wcześniej nie był remontowany. Systematycznie był za to niszczony, co groziło katastrofą budowlaną. Według opinii konserwatorów mury budynku bez przeprowadzenia ich chociażby zewnętrznej konserwacji nie wytrzymają kolejnej zimy – opowiada Jarosław Strugała, prezes spółki Kupcy Dominikańscy, która inwestuje w rozbudowę hali.

Obecnie prowadzone są badania archeologiczne, od strony ulic Pańskiej i Podwala Staromiejskiego trwa renowacja murów. Prace prowadzone są w miejscu, które od setek lat – jak wskazuje historia i odkrycia pracujących w hali archeologów – znajdowało się na styku sacrum i profanum. Archeolodzy odkopali osadę targową pochodzącą z czasów romańskich, cmentarzysko z XII-XIV wieku liczące trzysta kilkadziesiąt pochówków, pozostałości klasztoru dominikańskiego i przyklasztorną, wzniesioną na terenie cmentarza, studnię. Rewelacją archeologiczną ostatnich dziesięcioleci jest odkrycie



podwalin świątyni romańskiej, najprawdopodobniej najstarszego kościoła w Gdańsku. Prace archeologów zakończą się pod koniec czerwca. – Nie wiemy też, jaki ostateczny kształt projektu zostanie zatwierdzony przez Konserwatora Wojewódzkiego. Wierzymy, że dwie ścierające się tendencje będzie można wypośrodkować i zachowując

dziedzictwo przeszłości, uda się uszanować dążenia kupców, wieczystych użytkowników tego miejsca – opowiada Strugała. Koszt renowacji, wpisanego w 1988 roku na listęabytków budynku, ponoszą kupcy. Na przystąpienie do prac budowlanych czekali dziesięć lat. Do tej pory modernizacja hali kosztowała 15 milionów złotych.



Przy Hali Targowej prowadzone są prace konserwatorskie. Będzie też modernizowana

Prace konserwatorskie nadzoruje firma Piotra Bialko z Krakowa. Gdańszczanom firma znana już jest z prac restauratorskich Ratusza Głównomiejskiego, Domu Ławy, Domu Uphagena, kościoła św. Jana. Renowacja prowadzona jest w oparciu o zachowane zdjęcia hali sprzed

ostatniej wojny. Budynek zyska nowy dach, który pokryje falowana w specyficzny sposób blacha koloru ciemnoszaro-srebrzystego. Przywrócone zostaną wszystkie elementy dekoracyjne, które do tej pory były zdewastowane bądź ukryte. Główną estetyczną atrakcją hali ma być wyeksponowanie

słupów nośnych podtrzymujących sufit.

Powierzchnia użytkowa, wykorzystywana dla potrzeb handlu liczyć będzie 1 647 metrów. Powierzchnia zabudowy wynosi ponad 4 tysiące metrów. Hala ma zostać oddana do użytku pod koniec lutego 2002 roku.



Multiplex przy ulicy Krynickiej. Po prawej zaznaczona istniejąca stacja benzynowa przy ulicy Kołobrzeskiej

Zmiana klimatu sypialni

W Trójmieście trwa sezon na multiplexy. Piąty trójmiejski zespół kinowy budowany jest na gdańskim Przymorzu, w rejonie ulic Kołobrzeskiej i Krynickiej, na tyłach II Urzędu Skarbowego. Prace budowlane rozpoczęły się wiosną 2000 roku. Otwarcie prze-

widywane jest na jesień 2002 roku. Początkowo centrum handlowo-kinowe powstać miało w Centrum Manhattan we Wrzeszczu, ale kupcy wycofali się z tego pomysłu. Inwestycję prowadzi firma JWK Inwest, operatorem kinowym jest spółka Echo Cinema. Ośmiosa-

lowy multiplex powstanie na ostatnim piętrze kompleksu. Dwa poziomy zostaną przeznaczone na powierzchnię handlową, w planach jest też kilka pomieszczeń biurowych.

Ostateczny projekt wnętrza centrum nie został jeszcze wybrany. – Nasz multiplex budujemy w największej sypialni Gdańska. W dodatku jest to dzielnica, w której kom-

Biurowiec przy alei Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, na rogu ulicy Szymanowskiego





Nowy budynek klubu studenckiego „Żak” we Wrzeszczu

pletnie nie ma gdzie pójść. Nasza przewaga nad innymi tego typu obiektami wynika z faktu, że będzie on łatwo dostępny dla 300 tysięcy osób. Jak wynika z obserwacji na terenie Warszawy, największą popularnością cieszą się właśnie multiplexy, który powstały w wielkich blokowiskach, na Mokotowie i Ursynowie – mówi Anna Bandurska, kierownik działu marketingu w JWK Inwest.

Nowy Żak

Pod koniec tego roku otwarta zostanie nowa siedziba klubu studenckiego „Żak”. Budynek mieszczący się przy alei Grunwaldzkiej, niedaleko kolejki SKM na Zaspie ma 1640 metrów kwadratowych. W środku znajdzie się kino na 150-170 osób, kawiarnia muzyczna, sala koncertowo-teatralna i galeria. Cały budynek zaprojektowano tak, by był łatwo dostępny dla niepełnosprawnych. – Całą budowę zorganizowaliśmy tak, by jak najkrócej być na wygnaniu – opowiada Magda Renk, szefowa klubu.

„Żak” dysponował 30 tysiącami euro i w tej sumie musiało zmieścić się wszystko: kosztorys, koszty budowy i wykończenia. Przetarg wygrała firma Diogenes. – Przez cały okres budowy ściśle współpracowaliśmy z architektami, którzy pracowali pod dyktando pojawiających się zapotrzebowań. Nowy budynek jest stworzony specjalnie dla nas i spełnia wszystkie nasze wymagania – opowiada Renk.

Tak będzie wyglądał biurowiec przy alei Grunwaldzkiej we Wrzeszczu





Gmach Wydziału Prawa Uniwersytetu Gdańskiego w Oliwie

„Żak” przy alei Grunwaldzkiej zamierza kontynuować wieloletnie tradycje zapoczątkowane przy Wałach Jagiellońskich. Wróci prowadzona przez Grażynę Tomaszewską galeria, której głównym celem jest promocja młodych absolwentów gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. – Zainteresowania młodych ludzi skupiają się wokół instalacji, projektów multimedialnych i w „Żaku” na pew-

no znajdzie się miejsce na prezentacje tego typu sztuki – zapewnia Renk.

Kawiarnia muzyczna ma być czynna codziennie, klimatem przypominać ma francuską „Blue Note”. Będzie można posłuchać jazzu, bluesa, formacji jassowych. Na scenie promocyjnej mają prezentować się młode zespoły. – Zamierzamy zaopiekować się również gdańskimi teatrami offowymi.

Chcielibyśmy, żeby dla teatrów, np. Dada von Bzdulow, Teatru Snów, Stajni Pegaza, „Żak” stał się domem i opiekunem. Zamierzamy produkować spektakle i starać się sprzedawać je za granicą – mówi Renk.

Przy „Żaku” powstać ma też szkoła teatralna, miejsce, gdzie młodzi ludzie będą mogli spędzić czas, uczyć się aktorstwa, ruchu scenicznego, improwizacji. – To mają być

Modernizowany budynek rektoratu Uniwersytetu Gdańskiego w Oliwie





Dobudowane zostanie ostatnie skrzydło, w którym znajdzie się m.in. dziekanat i biblioteka wydziału. Działalność w nowym gmachu rozpoczęła się od wizyty Madeleine Albright, sekretarz stanu USA i historyka Normana Daviesa, którzy w czerwcu ubiegłego roku otrzymali doktoraty honoris causa.

Ten rok akademicki studenci rozpoczęli już w nowym budynku. Przez semestr zimowy zajęcia odbywały się zarówno w Sopocie jak i w nowym gmachu, ale dziś prowadzone są wyłącznie przy ulicy Bażyńskiego. Z wysokiej klasy sal wykładowych korzystają też studenci innych wydziałów. Oprócz auli i mniejszych sal przeznaczonych na ćwiczenia studenci mają do dyspozycji włoską restaurację, bufet, księgarnię i punkty usługowe.

Przy ulicy Bażyńskiego przebudowywany też jest budynek uniwersyteckiego rektoratu. Będzie wyższy o jedno piętro i otrzyma nową elewację.

Poprawy warunków studiowania oczekiwac też mogą studenci Wydziału Zarządzania Politechniki Gdańskiej. – Semestr zimowy roku akademickiego 2002/2003 rozpocznie się

już w nowych pomieszczeniach – obiecuje Agnieszka Meller, kierownik projektu.

Budynek zaprojektowany przez doktora Andrzeja Prusiewicza i doktor Ewę Ratajczak-Piątkowską, architektów z Politechniki, składać się będzie z dwóch brył. W niższej części znajdą się dwa audytoria na około sto sześćdziesiąt osób każde. Na parterze wyższej części kompleksu znajdują się szatnie, sale konsumenckie, na pierwszym piętrze – dziekanat, na drugim – dziesięć sal wykładowych. Trzecie i czwarte piętro zajmą pomieszczenia dla pracowników naukowych Politechniki. Na piątym piętrze będzie biblioteka z czytelnią. – Szczególnie piękna będzie właśnie doświetlona przez dach czytelnia – opowiada Meller. Powierzchnia użytkowa budynku liczyć ma 4 990 metrów.

Inwestycje prowadzone obecnie w Gdańsku na pewno zmieniają jego krajobraz zarówno w sferze architektonicznej jak i funkcjonalnej. Na realizację czekają następne plany: budowy gdańskich plantów, nowego gdańskiego city na postoczniovych terenach jak i rewitalizacji Dolnego Miasta. ■

przysłowiowe drożdże do ciasta. Mam nadzieję, że ci młodzi zarażą się od tych uznanych już gdańskich teatrów i zaczną przygotowywać własne rzeczy – śmieje się Renk.

Naprzeciwko „Żaka” powstaje też inna duża gdańska inwestycja: przy alei Grunwaldzkiej do końca tego roku oddany zostanie do użytku sześciopiętrowy biurowiec. – Powierzchnia biurowa wynosi siedem tysięcy metrów kwadratowych – mówi Andrzej Urbański, dyrektor nadzorującej inwestycję firmy Vigo.

Drugi biurowiec wznoszony jest przez firmę Hossa również przy alei Grunwaldzkiej, nieco dalej w stronę Oliwy.

Kolejny biurowiec powstanie właśnie w Oliwie przy ulicy Polanki 4. Do dyspozycji klientów będzie około 1500 metrów powierzchni biurowej. Zakończenie prac przewidywane jest jesienią tego roku. – Charakter budynku będzie ciepły, typowy dla Starej Oliwy – mówi Wojciech Falkowski z firmy Ecoll. – Jednak współgrając z panującym przy ulicy Polanki klimatem, będzie się też wyróżniał elewacją, ceramicznymi dachówkami i dużą ilością okien. Budynek zaprojektowany został przez architekta Tadeusza Medowskiego.

Prawo koloru blue

W tym roku zakończona zostanie również budowa Wydziału Prawa Uniwersytetu Gdańskiego przy ulicy Bażyńskiego w Oliwie.

Budowa gmachu Wydziału Zarządzania Politechniki Gdańskiej przy ulicy Traugutta we Wrzeszczu



STO LAT W



ARCHIWUM



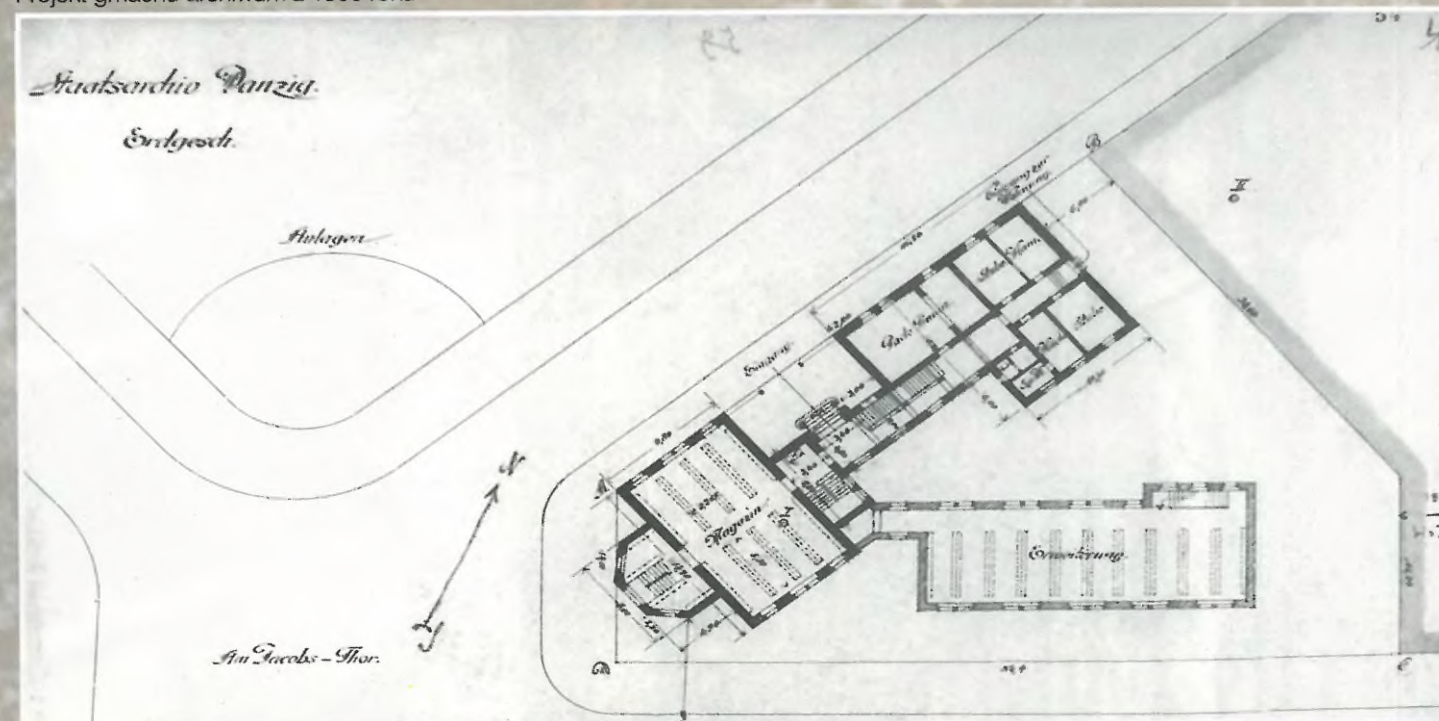
Plan działki gruntowej między ulicą Walową a Placem Hanzy, na której wzniesiony został nowy gmach Archiwum Prowincji

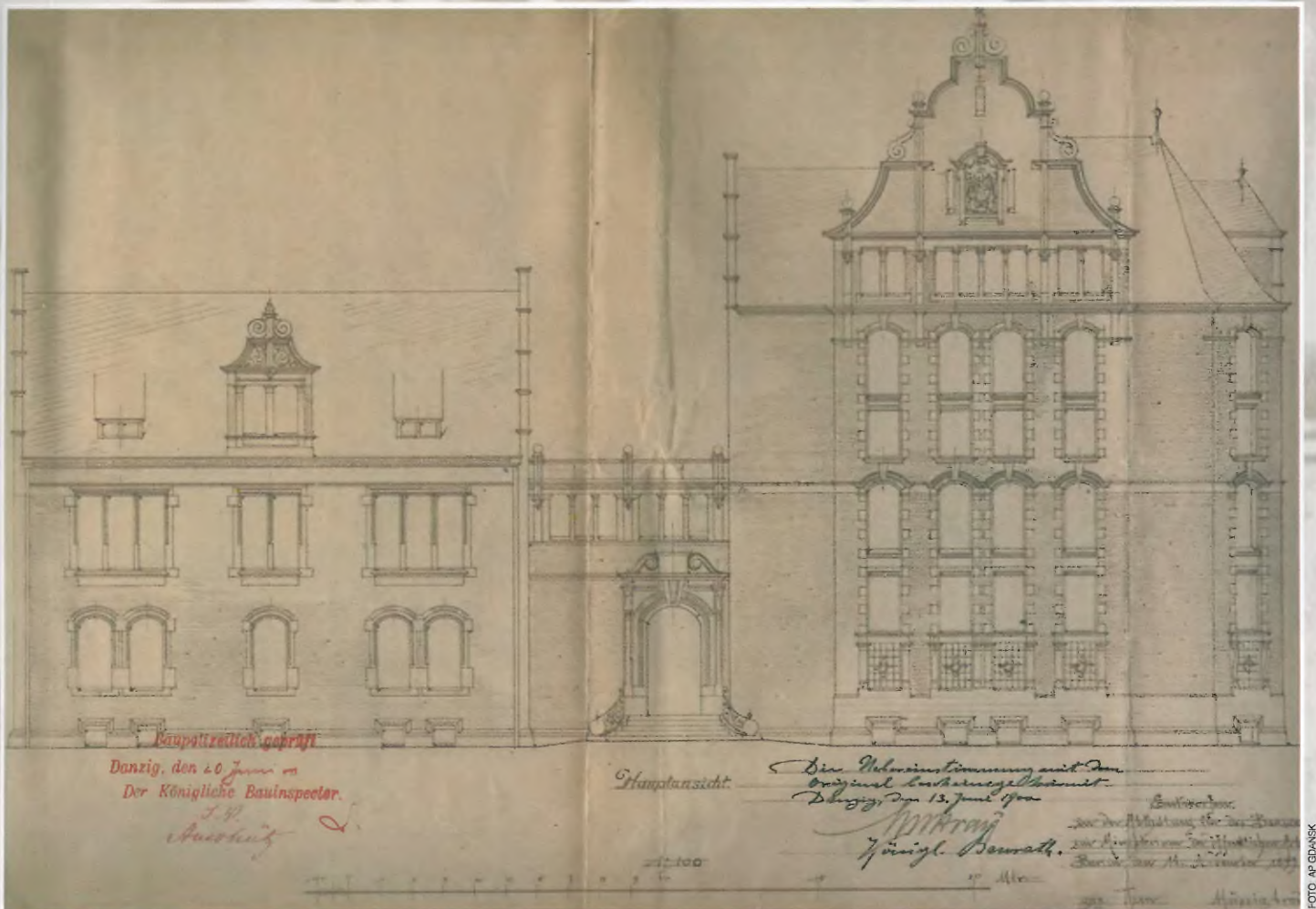
Projekt gmachu archiwum z 1900 roku



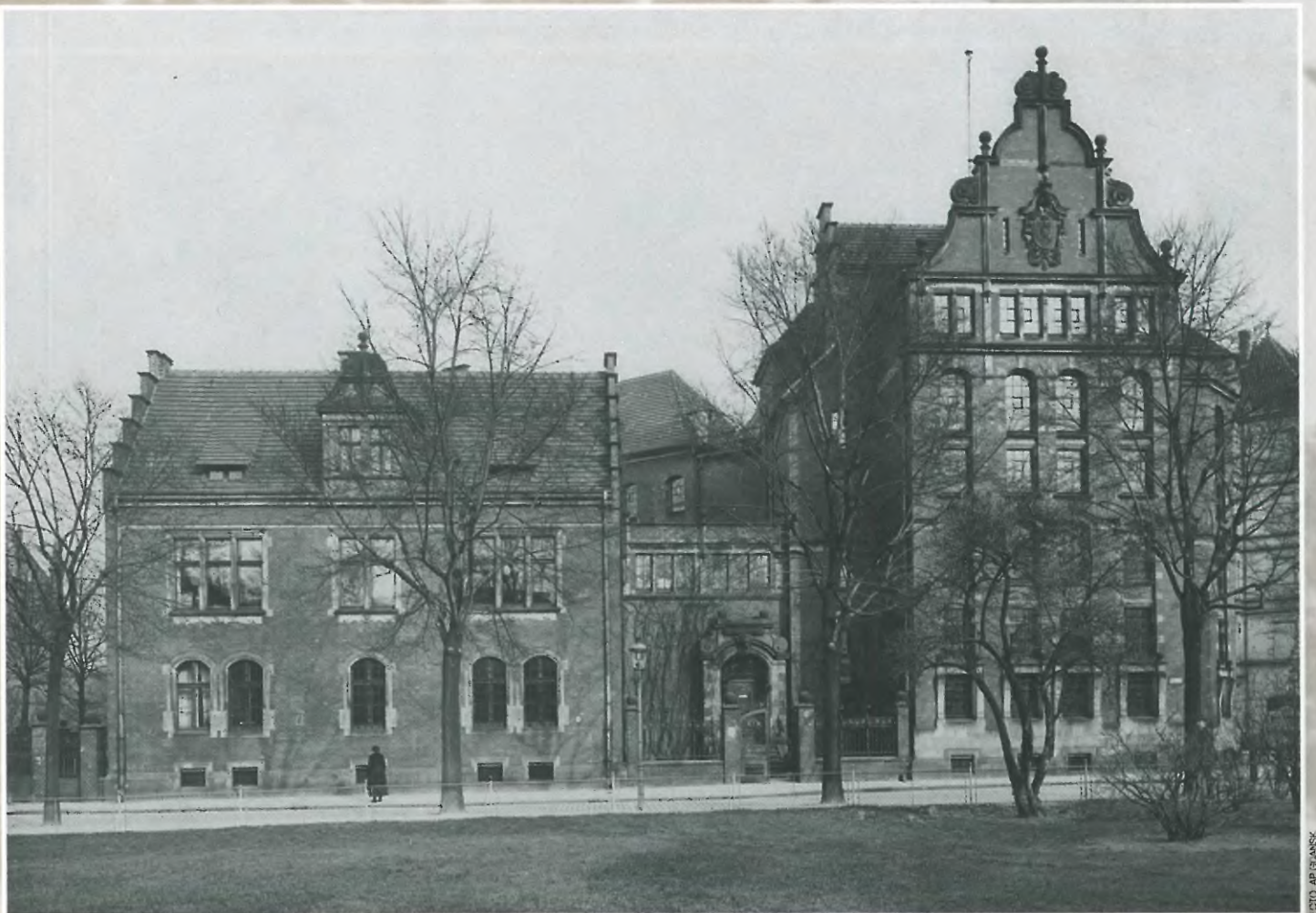
Pierwszy dyrektor Max Bär pełnił swoją funkcję w latach 1901-1912

Archiwum Państwowe dla prowincji Prusy Zachodnie utworzone zostało 1 kwietnia 1901 roku. Pierwszą siedzibą, do czasu wzniesienia nowego gmachu, był Ratusz Głównego Miasta. W zbiorach znalazły się zasoby archiwalne z terenu prowincji, z których najstarsze pochodziły z XII wieku. Po utworzeniu Wolnego Miasta przekazane zostało jego władzom.





Tak zaprojektowano elewację od strony Placu Hanzy (dziś Wały Piastowskie). Budynek oddano do użytku na początku 1903 roku



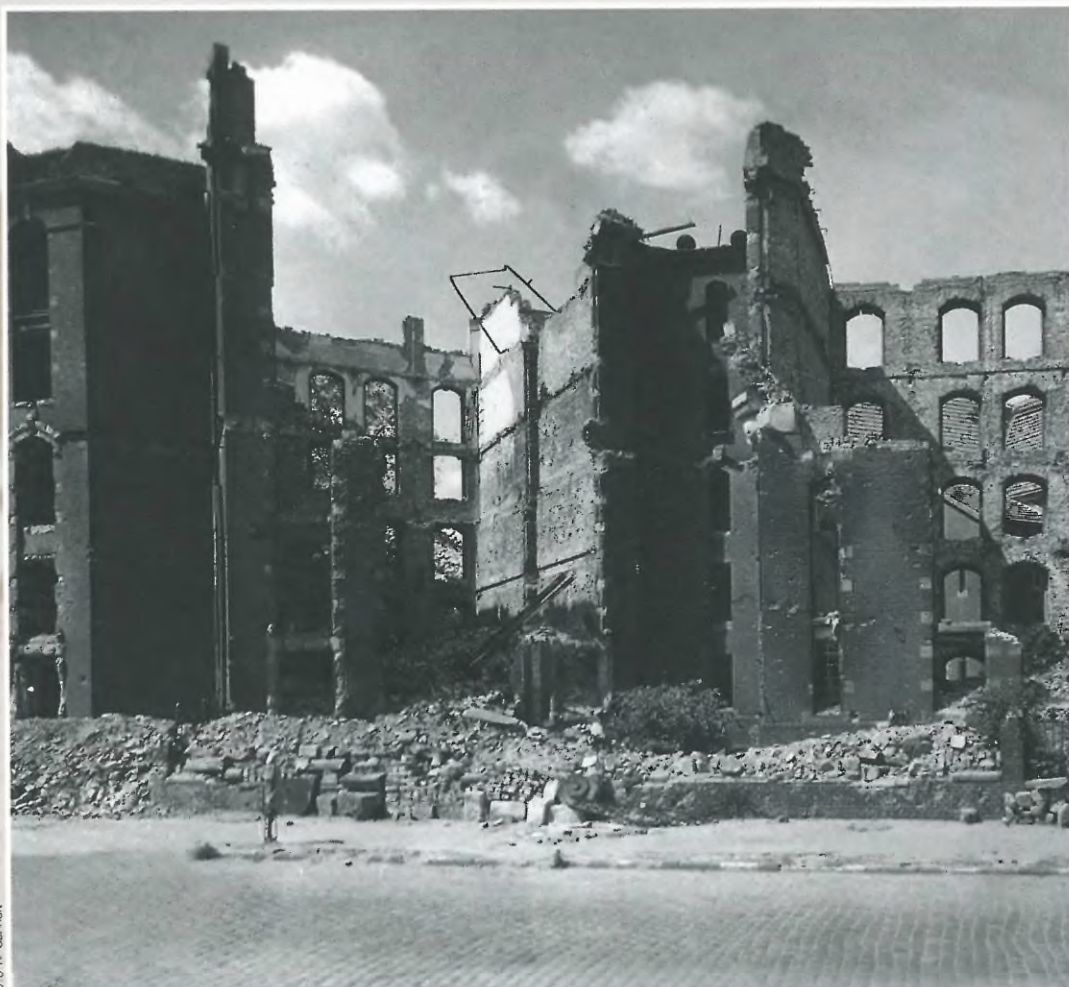


FOTO: AP GDAŃSK



FOTO: AP GDAŃSK

W wyniku działań wojennych budynek magazynu został zniszczony, a budynek administracyjny uszkodzony

Uczestnicy uroczystości otwarcia Archiwum Państwowego w 1947 roku. Po lewej trzy osoby, które pełniły funkcję dyrektora w tamtych latach. Stoi (pierwszy od lewej) doktor Roch Morcinek, a siedzą (też od lewej) doktor Maria Sławoszewska i doktor Marcin Dragan



FOTO: AP GDAŃSK



Nowy gmach magazynu stanął na fundamentach poprzedniego i oddany został do użytku na początku lat pięćdziesiątych

W latach siedemdziesiątych pracownicy archiwum porządkowali ulicę przed budynkiem w ramach tzw. czynu społecznego



FOTO: AP GDAŃSK

12 kwietnia 1979 roku archiwum odwiedziła Galina Miłajewa (stoi pośrodku), córka ówczesnego sekretarza KC KPZR, Leonida Breżniewa

Wprawdzie w marcu 1945 roku spłonęły magazyny archiwum, ale najcenniejsze archiwalia ocalały, gdyż zostały wywiezione do Niemiec lub rozmieszczone w różnych obiektach w Gdańsku i okolicy. W kwietniu 1945 roku zbiory przejęły polskie władze. Rozpoczęła się odbudowa i porządkowanie zbiorów.



FOTO: AP GDAŃSK



FOTO KRYSZNA ZALEMKA / APD-NSK

W 2001 roku w archiwum świętowano jubileusz 50-lecia pracy naukowej profesora Czesława Biernata, który przez wiele lat (1969-1991) był dyrektorem tej instytucji



FOTO JERZY KULIŃSKI / APD-NSK



FOTO JERZY KULIŃSKI / APD-NSK

W latach 1999 i 2000 budynek Archiwum Państwowego poddany został wielomiesięcznemu gruntownemu remontowi

Po remoncie pracownicy archiwum pomagali w porządkowaniu terenu przylegającego do budynku



FOTO STANISŁAW FLIS / APD-NSK

Zasoby archiwalne mierzy się długością półek, które one zajmują. Gdańskie archiwum (wraz z oddziałem w Gdyni) zgromadziło już 10 tysięcy metrów bieżących różnorodnych dokumentów. Zbiory obejmują okres od 1178 do 1995 roku i zaliczane są do najbardziej wartościowych w Polsce.

Uroczystości stulecia Archiwum Państwowego w Gdańsku obchodzone będą w pierwszych dniach czerwca.



LEŚNE ZAWILCE NA SOPOCKICH KURHANACH

Wysłuchał, zapisał i opracował: Tadeusz T. Głuszko

Kurhan kultury łużyckiej, prawdopodobnie z końca epoki brązu, około 650–600 lat przed naszą erą. Częściowo rozsypany. Co się w nim kryje, tego nie można powiedzieć bez badań

Z sopockiego osiedla Brodwinno maszeruje się na Wielką Gwiazdę paręnaście minut, do pół godziny. Podobnie z osiedla Przylesie przy ulicy 23 Marca. Choć mieszkający na Brodwinie Mieczysław Haftka nie ma za dużo wolnego czasu, pracuje bowiem w odległym Malborku jako wicedyrektor Muzeum Zamkowego oraz wykładowca na Uniwersytecie Gdańskim, znajduje jeszcze czas na wędrowki po sopockim lesie. Robi to dla zdrowia i przyjemności. Z wykształcenia i zamiłowania jest archeologiem, zatem przemierzając leśne dukty dostrzega nie tylko cuda natury. I tak, występujące w okolicy Wielkiej Gwiazdy pewne formy ziemne, które większość z nas wskutek nieznajomości rzeczy odbiera jako naturalne wybrzuszenia terenu, Mieczysław Haftka kwalifikuje jako kurhany. Jeszcze nikt ich nie zbadał, wydaje się zatem, że za wcześniej na śmiało wnioski, tym bardziej, że prace wykopaliskowe mogłyby wykazać ich naturalne pochodzenie. Wiele jednak przemawia, że to prastare mogiły, co ośmiela



Dwa młodsze sopockie kurhany mają średnicę około piętnastu-dwudziestu metrów i wysokość trzech-czterech metrów. Podobne groby zostały odkryte w XIX wieku kilka kilometrów dalej, na terenie należącym do Gdyni Bernadowa

Jeszcze do 1945 roku na sopockim leśnym wzgórzu noszącym nazwę Wielka Gwiazda (niem. Grosser Stern) stała gospoda nazywająca się jak to wzgórze. Otwarto ją w drugiej połowie XIX wieku. Często była odwiedzana przez mieszkańców nadmorskiego kurortu oraz przyjeżdżających tu wczasowiczów. O sławie restauracji Grosser Stern zdecydowało jednak nie tylko romantyczne położenie i dobra kuchnia, ale też specjalnie dla wygody gości uruchomiona linia tramwajowa o napędzie konnym, której przystanek początkowy znajdował się przy dzisiejszej ulicy Niepodległości, końcowy zaś niemal u wrót gospody. Restauracja spłonęła w 1945 roku i nigdy jej nie odbudowano. Zostały po niej tylko niepełne zarysy murów przyziemia. Wydawać by się mogło, że pamiątką świetności tego miejsca pozostanie wyłącznie rozpoznawalny w wielu miejscach nasyp starego torowiska oraz leśne ścieżki wytyczone przez dawnych sopocian tudzież spotykane gdzieś na pniach drzew leciwe kosze na śmieci, wyplecione z drutu skutecznie opierającego się procesom korozji. Tymczasem zachowało się coś jeszcze.

Mieczysława Haftkę do przypuszczeń, iż rezytorium Sopotu, fetującego w tym roku stulecie nadania praw miejskich, było zasiedlone już w okresie neolitu, około pięciu-czterech tysięcy lat temu.

Kilkanaście tysięcy lat

Sopot ma ogromnie odległą metrykę – mówi Mieczysław Haftka. – To tutaj znaleziono najstarszy zabytek archeologiczny, który pochodzi z około jedenastu-dziesięciu tysięcy lat przed naszą erą. Dotyczy to grocika krzemiennego zgubionego bodaj przez grupę myśliwych przynależnych prawdopodobnie do kultury świderskiej. Grupa ta wędrowała na północ za stadami reniferów już po ustąpieniu lodowca, czyli po czwartym zlodowaceniu. Najbardziej na północ wysunięty taki grocik został znale-

Nieco starszy od sopockich grobów kurhan w Siemirowicach w powiecie lęborskim



ziony na samym cyplu Półwyspu Helskiego, w co nie chcą wierzyć geolodzy, ponieważ twierdzą, że w tamtym czasie półwyspu nie było. No, można się sprzeczać, ale wiemy z czasów nowożytnych, odkąd posiadamy mapy, że półwysep nie był jednolitą formacją, ale tworzył go szereg małych wysepek, co pamiętamy z kartograficznych ujęć. Ten grocik znamy wyłącznie z literatury. W pierwszym tomie „Prehistorii ziem polskich” jest wymieniany jako obiekt ze schyłkowego paleolitu. Zamieszczono tam mapę, gdzie Sopot i Hel występują jako

wrócone miski, malowniczo wynurzające się z umiarkowanie pofalowanego terenu. Częściowo porastają je drzewa. Na większym Niemcy urządzili u schyłku wojny gniazdo karabinu maszynowego. Pozostał po nim głęboki wkop. Obiekty te nigdy nie były badane przez archeologów. Mieczysław Haftka odnalazł je około dziesięć lat temu.

Są to kurhany należące prawdopodobnie do kultury łużyckiej – objaśnia. – Pochodzą najpewniej z końca epoki brązu, około 650-600 lat przed naszą erą czyli sprzed około dwóch tysięcy sześciuset lat. To groby cia-

kamiennym i bezpośrednio zabezpieczającym ją płaszczem – również kamiennym. Znaleźć w tym terenie kamienie w takim nagromadzeniu, jak widzimy na tych kopcach, jest dosyć trudno. A jednak tu są.

Sopockie groby występują bardzo blisko siebie. Inaczej jest na przykład w Siemrowicach w powiecie łębskim, gdzie kurhany, powstałe nieco wcześniej, znajdujemy na dużej przestrzeni lasów. Ich pagóry są mniej czytelne od sopockich, bo tam ziemia jest bardziej piaszczysta, silniej podatna na erozję. Tamtejsze groby mają u podnóża na-



Grób megalityczny neolitycznej kultury pucharów lejkowatych sprzed około czterech tysięcy lat. Czy we wnętrzu tego pagóra rzeczywiście znajduje się płaszcz kamienny, trudno powiedzieć. Czy jest wieńiec głazów, też nikt nie wie. Czy jego czoło kryje komorę grobową, również nie wiadomo. Nie ma przecież stuprocentowej pewności, że to groby

jedne z najbardziej wysuniętych na północ miejsc występowania takich znalezisk.

Sopot brązowy

W okolicy Wielkiej Gwiazdy znajdujemy dwie grupy grobów różniące się formą i wiekiem. Młodsza z nich tworzą dwa kopce niejednakowej wielkości, przypominające od-

łopalne. Z reguły kości umieszczano w urnie, którą sadowiono najczęściej w centralnej partii nasypu. Kurhany te usypywano najpewniej z materiału pochodzącego z pogorzeliska stosu, na którym dokonano spalenia zwłok oraz okolicznej ziemi z jakąś ilością kamieni. Sama komora grobowa przypuszczalnie została otoczona wieńcem

sypu krąg kamienny, natomiast sama komora grobowa w formie małej skrzynki jest umieszczona w centrum, pod kamienno-ziemnym płaszczem.

Sopockie kurhany mają średnicę około piętnaście-dwadzieścia metrów i wysokość trzech-czterech metrów. Częściowo są rozsypane. O ich konstrukcji niewiele można po-

wiedzieć bez badań. Niewykluczone jednak, że są zbudowane podobnie jak w Siemirówcach. Podobne groby odkryto parę kilometrów dalej, na terenie należącym do Gdyni Bernadowa. Było to w XIX wieku. Zachowały się tylko notatki w archiwum Muzeum Archeologicznego w Gdańsku.

Laikowi sama nasuwa się wątpliwość, czy nie usypali tych wzniesień Niemcy w marcu 1945 roku, kiedy bronili Sopotu przed Armią Czerwoną. Zdaniem Mieczysława Haftki to jednak kurhany, z których jeden po prostu wykorzystano do prowadzenia ognia podczas drugiej wojny światowej. Skoro tak, czy można znaleźć w nim urnę z prochami?

Niewykluczone, o ile nie została już wydobyta. Są bowiem ślady, że ktoś tutaj przychodzi i grzebie. Bez badań trudno powiedzieć. Możemy posłużyć się jedynie analogią, co jest mało precyzyjne. Duże kurhany stawiano z reguły osobom uprzywilejowanym. Było tak przynajmniej w epoce brązu, to jest w czasie, kiedy powstawały sopockie grobowce. Mało jeszcze wiemy, jak wyglądała drabina społeczna w tamtych czasach, ale z wyposażenia wielu ówczesnych grobów możemy sądzić, że zróżnicowanie było bardzo duże. W kulturze unietyckiej pojawiają się na przykład berła sztyletowe jako oznaki władzy, w kulturze trzcinieckiej występują diademy brązowe, pozłacane i złote, co by też świadczyło w wielkim zróżnicowaniu społecznym. Ale z kolei kultura łużycka, znana nam na przykład z Biskupina, wykazuje coś wręcz odwrotnego. Bo przecież ten uniwersalizm urbanistyczny, który zastosowała grupa społeczna żyjąca w V wieku w ramach wałów Biskupina, budująca szeregowce, wszystkie z takim samym podziałem, gdzie obserwujemy niewielkie różnice wielkości domostw i ich wyposażenia, świadczy o bardzo dużym wyrównaniu społecznym.

Sopot neolityczny

Zostawiamy łużyckie kurhany. Przemieszczamy się leśnym gościńcem bliżej sanatorium „Leśnik”. Oto przed nami trzy rozległe usypiska ziemne; wszystkie czworoboczne, z szerszym czołem, mocno zwężające się im dalej od czoła, różniące się wielkościami. Znajdujemy je ułożone jakby w trójkącie. Ten układ może coś znaczyć, ale nie musi. Mieczysław Haftka widzi w nich groby megalityczne. Odkrył je przed kilku laty. Największe takie obiekty w Polsce występują w Wietrzychowicach na Kujawach, gdzie odkryto megalit, zwężający się w formie trójkąta, o długości sto piętnaście metrów, szerokości czoła – piętnaście metrów, i wysokości około osiem metrów.

Wielkość największego sopockiego megalitu jest wcale imponująca. Długo ponad osiemdziesiąt metrów. Szeroki ponad dwa-

Z kultury pucharów lejkowatych

Wielowiekowe oddziaływanie młodszych kultur naddunajskich na kultury mezolityczne Niżu Środkowoeuropejskiego sprawiło, że około 4350 roku przed naszą erą wytworzyły się nowe kultury, różniące się całym szeregiem istotnych znamion od kultur naddunajskich. Wśród nich najwybitniejsza była kultura o typowych już cechach neolitycznych – kultura pucharów lejkowatych, nazwana tak od przewodniej formy ceramiki, jaką były średniej wielkości czasze i czary o lejkowato rozchylających się częściach górnych, umownie określane „pucharami”. Założki tej kultury wytworzyły się w kilku ośrodkach: nad środkowo-dolną Łabą, w rejonie Odry oraz między toruńskim kolanem Wisły a środkową Wartą w ośrodku kujawsko-północnowielkopolskim.

Przedstawiciele kultury pucharów lejkowatych cechował silnie rozwinięty kult sił nadprzyrodzonych związanych z wodami (głównie stojącymi) i bagnami, co wyraźnie różniło ich od reprezentantów kultur naddunajskich. Często składali wotywnie ofiary bagienne na przybrzeżach wód albo umieszczali je na pomostach stawianych nad tymi wodami. Składanie ofiar bagiennych stanowi pośrednią wskazówkę, by kolebkę kultury pucharów lejkowatych lokalizować w pasie jezior, stawów, oczek lodowcowych i bagien północnej części Niżu Środkowoeuropejskiego, licznie występujących w Meklemburgii, Brandenburgii, na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Kujawach.

Ludność kultury pucharów lejkowatych już w swej najstarszej fazie rozwojowej chowała zmarłych na przeważającej większości terytorium nie w pozycji skurczonej, na boku, jak to było w zwyczaju „naddunajczyków”, lecz w układzie wyprostowanym, na wznak. Komory grobowe budowała początkowo nieduże, z gładów wielotonowej wagi, przeznaczone dla pojedynczych nieboszczyków, z biegiem czasu powiększające się. Groby osłanianio i uwiadczniano przez usypywanie nad nimi potężnych mo-



Charakterystyczne, rozchylające się naczynia ceramiczne kultury pucharów lejkowatych

głit ziemnych, mających nieraz ponad tysiąc metrów sześciennych objętości, więcej niż sto metrów długości i do trzech metrów wysokości, o rzucie najczęściej prostokątnym, dość często trapezowatym, również (np. na Kujawach) w postaci bardzo wydłużonego trójkąta, a niekiedy też okrągłych. Krawędzie nasypów mogilnych otaczano potężnymi gładami, tworząc z nich obstawy chroniące przed rozmyciem a zarazem odgraniczające od obszaru „nieświętego”. Grobowce te, nazywane z grecka „megalitycznymi” (megas „wielki”, lithos „kamień”) były największe na zachodzie Europy i w południowej Skandynawii, gdzie używano do ich budowy glazy o wadze dochodzącej nieraz kilkudziesięciu, a nawet i stu ton. Bardziej ku wschodowi i południowi grobowce malały, choć i tu nie brak megalitów urzekających ogromem, jak np. grobowiec kujawski w Gaju pod Kołem liczący pierwotnie sto pięćdziesiąt metrów długości, lub podobny w bliskich Wietrzychowicach – sto piętnaście metrów.

Na przedpolu grobów megalitycznych albo w obrębie ogrodzonych gładami nasypów mogilnych, w ich najszerszej i najwyższej części, tuż obok komory grobowej, dokonywano czynności kultowych ku czci zmarłych. Urządzano stypy i składano ofiary, po których zachowały się pokłady tłustej ziemi, przesyconej węglem drzewnym i popiołem, zawierającej liczne kości zwierzęce, niekiedy i ludzkie, kawałki rozbitych naczyń glinianych i drobne wyroby krzemienne. Te praktyki kultowe wykonywano nieraz w specjalnych, osobno stojących, dość dużych budynkach drewnianych o rzucie kwadratowym lub prostokątnym, z których wszystkie – rzecz interesująca – zostały spalone.

Zaczerpnięte (ze skrótami) z pracy Konrada Jazdzewskiego „Pradzieje Europy Środkowej” (s.205-210)

Grodzisko

Około VII-VIII wieku nie było jeszcze dolnego tarasu dzisiejszego Sopotu; zalewała go wody Zatoki, która z roku na rok stawiała się coraz płytsza. Ówczesny brzeg klifowy, obecnie nazywany Skarpą Sopocką, oddzielała od morza zaledwie wąska plaża. Z wysokiego brzegu roztaczał się szeroki widok; można było stamtąd obserwować karawany zbliżające się lądowym szlakiem czy nadpływające długie łodzie rabusiów z Północy. Doskonałe miejsce na strażnicę.

Pierwszy badacz sopockiego grodziska, H. Conwenz, stwierdził w 1885 roku, że zbudowano je w VIII wieku naszej ery, a opuszczono w wieku X. Mimo upływu stuleci, zachowało się na skarpie przy północnym wylocie ulicy Haffnera w formie wielkiej „patelni” porośniętej wiekowymi bukami i dębami. To właśnie tam wzniesiono w IX wieku od strony lądu ziemno-drewniany wał o konstrukcji rusztowej, około pięciometrowej wysokości, do którego po wewnętrznej stronie przylgnęły mieszkalne półziemianki z drewna i gałęzi, z podłogami z palonej gliny. Od strony morza zabezpieczenie w postaci wału było niepotrzebne, roztaczał się stamtąd szeroki widok na Zatokę. Majdan pozostał niezabudowany. Brama znajdowała się w południowym wale. W sposób naturalny niedostępności grodziska broniła fosa – od północy i południa tworzona przez parowy wyrzeźbione przez strumienie, na zachodnim zaś odcinku wykopana przez jego mieszkańców, którzy z wybranej ziemi usypali wały.

Gród zamieszkiwało około trzydzieści do czterdziestu osób, około siedem rodzin. Wykopalka przeprowadzone przed wojną oraz w latach sześćdziesiątych i dziewięćdziesiątych wykazały, że ludzie ci trudnili się między innymi garncarstwem, kowalstwem, piatnerstwem, tkactwem i rybołówstwem. Nade wszystko jednak byli strażnikami lądowego i morskiego szlaku. Na szczycie najwyższego wzniesienia ar-



Grodzisko sopockie, odcinek wału z majdanem, lata 70.

cheolodzy odkryli ślady wielkiego paleniska, co można interpretować jako miejsce kultowe albo prymitywną jeszcze latarnię morską. Dotąd nie udało się odkryć cmentarzyska tej grupy ani śladu po stosie używanym do obrzędu ciałopalenia.

Gród trzykrotnie padał pastwą pożaru, dwukrotnie był odbudowywany. W X wieku został opuszczony z niewyjaśnionych przyczyn. Być może utracił na znaczeniu wskutek powstania grodu gdańskiego? Nie odnaleziono śladów wskazujących, by życie zamarło tam wskutek jakiejś napaści i rzezi. Podobnych grodzisk było w okolicy około dziesięciu. Jedni badacze powiadają, że współtworzyły zintegrowany system wczesnego ostrzegania i obrony licznych na tym terenie otwartych osad słowiańskich, inni utrzymują, że ich załogi rywalizowały między sobą, dopuszczając się nawet zbrojnych napaści i grabieży.

dzieścia parę. Do dziś zachował około trzy metry wysokości. Na tym terenie o wielki kamień było dosyć trudno, więc zbierano, co było, i to tworzyło nasyp. Ale czy we wnętrzu tego obiektu znajduje się płaszcz kamienny, trudno powiedzieć. Czy jest wieniec głazów naokoło, też nikt nie wie. Czy jego czoło kryje komorę grobową, również nie wiadomo. Nie ma przecież stuprocentowej pewności, że to są groby, mimo że w płaskim okolicznym terenie wyraźnie widać, że to sztuczne formy, które przez kilka tysięcy lat zachowały się w mocno zdegradowanej postaci.

Mieczysław Haftka wiąże sopockie mogiły megalityczne z tzw. kulturą pucharów lejcowatych, która przejęła i przeniosła ideę grobów megalitycznych na cały Niż Europejski, na którym egzystowała przed naszą erą w latach około 3500-2400. Jesliby rzeczywiście tak było – zastanawia się Mieczysław Haftka – mamy tu do czynienia ze schyłkową postacią grobów tej kultury, ale jaka jest rzeczywistość, to mogą pokazać dopiero badania. Sopockie megality mogą liczyć od około pięciu i pół do czterech i pół tysiąca lat.

Prasopocianie

Gdzie mogli mieszkać ludzie, którzy wzniesli sopockie grobowce megalityczne? Tego nie wiemy. Mogli mieć osadę na przykład nad strumykiem, który przepływa przez Brodwin. Na boisku szkolnym tego osiedla, krótko przed jego zabetonowaniem i zalaniem asfaltem, znaleziono liczny materiał krzemienisty i rozdrobnione fragmenty naczyń neolitycznych. Wiele zatem wskazuje, że nad strumyczkiem była osada. Niestety, nie przeprowadzono tam badań.

Nie sposób też dzisiaj powiedzieć, jak długo budowano takie megality. Na pewno nie w jeden dzień. Dużo zależało od wielkości grupy społecznej, która brała w tym udział. Jest jednak pewne, że jakaś idea, czy to społeczna, czy religijna, musiała mocno jednoczyć grupę, która tego dokonywała. Motywacja budowniczych grobów megalitycznych musiała być bardzo silna.

Koszty i zyski

Mieczysław Haftka nie wierzy w przypadkowe tylko podobieństwo zaobserwowanych na Wielkiej Gwieździe „nierówności terenu” z megalitami. Nie wątpi, że odkrył groby megalityczne. Jeżeli nigdzie nie widzimy kamieni, a tu one występują, i to w jakimś rozstawie – powiada – to o czymś to świadczy. Trudno przekonywać kogoś do antropologii tych nasypów. Ja jestem do niej przekonany, jakkolwiek podchodzę do tego z ogromną ostrożnością. Bo to jednak jest wyraźnie podszypane. Ale nie można tego potwierdzić, póki nie przeprowadzi się badań.



Kamienny płaszcz na kurhanie w Siemirowicach po częściowym usunięciu nasypu ziemnego w latach 60. Niewykluczone, że podobnie wyglądają przekroje sopockich obiektów

Badania archeologiczne kurhanów, to nie jest prosta sprawa. Trzeba zacząć od sporządzenia bardzo dokładnego planu geodezyjnego. Takie są wymogi. Nikt nie otrzyma ze-

zwolenia na badanie, jeżeli od tego nie zacznie. Dopiero potem można wystąpić o zezwolenie konserwatorskie, zezwolenie leśne.

Nie wolno ograniczyć prac do wykonania

wąskiego wykopu sondażowego. To jest niedopuszczalne. Archeolog musi rozkopać cały kurhan, albo nie odpowie na podstawowe pytania: jak on wyglądał, jakiej był wielkości,

gdzie umieszczono komory grobowe i tak dalej. Po zakończeniu badań, należy kurhan wiernie zrekonstruować.

Gdyby podjąć decyzję o badaniu tych megalitów, nie da się uchronić rosnących na nich drzew. Byłaby to praca na lata i ogromnie kosztowna. A jakie przyniosłaby zyski? Cóż, zysk w archeologii to... – no, może nie do końca – to na przykład taki skarb Priama z Troi odkryty przez Schliemanna, którego do dziś Niemcy nie mają. Wiemy, gdzie jest. W Muzeum imienia Puszkina w Moskwie... Ważne jednak, że został odkryty, zbadany i opisany. Nasza wiedza poszerzyła się o znajomość kolejnych faktów i to jest duży zysk.

Badac

Jakkolwiek odkryte przez Mieczysława Haftkę sopockie grobowce są o tysiące lat starsze od zamieszkiwanego przez Słowian wczesnośredniowiecznego grodziska sopockiego przy ulicy Haffnera, pewnie jeszcze długo pozostaną niezbadanym ogniwem naszego rozwoju cywilizacyjnego. Bo kto zechce zainwestować niemałe pieniądze w badania? Szczęśliwie sopockich grobów nie splądrowali dotąd coraz liczniejsi poszukiwacze skarbów. Wydaje się naturalne, że należałoby ten fakt docenić przez prędkie „zmobilizowanie odpowiednich sił i środków” i rozpoczęcie prac badawczych i zabez-



Trudno przekonywać kogoś do pochodzenia tych nasypów. Ja jestem do niej przekonany, jakkolwiek podchodzę do tego z ogromną ostrożnością – przyznaje Mieczysław Haftka

pieczających. Nie chcemy utrudniać pracy archeologom, celowo zatem nie zamieszczamy mapki z naniesieniami wymienionych tutaj obiektów, by wspomnianym poszukiwaczom nie ułatwiać dewastacji tych niezwykłych reliktyw neolitu i brązu. Dla celowego zmylenia tychże osobników posłużyliśmy się w tekście nawet pewną nieprawdą. ■

WYKORZYSTANO:

Jażdżewski K., „Pradzieje Europy Środkowej”, 1981

Kostrzewski J., „Pradzieje Pomorza”, 1966

„Prehistoria Ziemi Polskich” pod red. W. Chmielewskiego i W. Hensla, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1975, t. 1

Wietrzychowice, grobowiec megalityczny ludności kultury pucharów lejkowatych, według fotografii z 1935 roku. Widok od strony czoła po zdjęciu nasypu ziemnego. Widzimy trójkątną obstawę zewnętrzną z wielkich głazów oraz dwa groby w obstawach prostokątnych: centralny – z wyraźnymi szczątkami ludzkimi, oraz poboczny – mniejszy. Ludność tej kultury nie знаła pochówków ciałopalnych; zmarłych składała w grobie w pozycji wyprostowanej. Podobnie mogą wyglądać obiekty sopockie po zdjęciu osłony ziemnej



Tworzymy panor



zastąpi każde lekarstwo, a żadne lekarstwo nie zastąpi ruchu”.

Skala i orientacja mapy

Mapa jest sporządzona w stosunkowo małej skali. W handlu będzie dostępna w skali 1:50 000. W związku z tym nie zawiera wielu szczegółów. Nie jest przeznaczona do korzystania w terenie, gdyż nie jest zorientowana na północ, ale na brzeg Zatoki. Jej autorom chodziło bowiem o wyeksponowanie najpopularniejszej trasy rowerowej Trójmiasta, biegnącej wzdłuż plaży od Brzeźna do moła w Sopocie.

Wydawnictwo Eko-Kapio przewiduje równoległe wydanie konwencjonalnej mapy Gdańska i Sopotu w większej skali, z większą liczbą tras i oznakowaniem stopnia ich nachylenia, miejsc wymagających szczególnej uwagi, jakości nawierzchni i miejsc pokonywania przeszkód terenowych takich jak drogi szybkiego ruchu, li-

nie kolejowe czy ogrodzenia dużych obiektów przemysłowych.

Oznakowanie tras

Dla oznaczenia tras użyto jedynie trzech rodzajów oznakowań. Ciągła czerwona linia oznacza trasy formalnie uznane jako rowerowe i jako takie oznakowane w terenie. Niestety, jeszcze nie układają się one w spójną sieć, m.in. z powodu tworzenia ich przed opracowaniem całościowej strategii, która ma uwzględniać interesy rowerzystów i pieszych przy budowie dróg, chodni-

Předstawiona mapa została sporządzona z myślą o kilku sprawach. Po pierwsze, ma stanowić próbę wizualizacji niezwyklej walorów położenia Trójmiasta – między wodami Zatoki Gdańskiej, a zalesionymi wzgórzami Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Po drugie, jest próbą podsumowania skuteczności kilkuletnich wysiłków na rzecz rozbudowy infrastruktury rowerowej w naszej aglomeracji, wysiłków podejmowanych zarówno przez władze samorządowe, jak i organizacje społeczne (takie jak np. Obywatelska Liga Ekologiczna). Następnie, ma uzmy-

słować czytelnikom fakt, że ruch rowerowy odbywa się często na trasach, na budowę których nie ma potrzeby ponoszenia wielkich nakładów. Jedyne nakłady, które warto by ponieść są słupki ze strzałkami informującymi o odległości do istotnych punktów orientacyjnych. Autorzy mają nadzieję, że dzięki mapie i informacjom w terenie znacznie większa niż dotąd liczba mieszkańców Trójmiasta i gości nas odwiedzających przekona się do korzyści płynących z rekreacyjnej jazdy na rowerze. Przecież już nadworny lekarz Stefana Batorego, Wojciech Oczko wiedział, że „ruch

tras rowerowy

amiczną mapę

ków i urządzeń hydrotechnicznych. Czerwona linia przerywana oznacza trasy możliwe do wykorzystania przez rowerzystów bez większego ryzyka kolizji z ruchem kołowym. Są one niejednokrotnie prowadzone po asfaltowych jezdniach dróg zamkniętych dla ruchu kołowego, zapewniają więc rowerzystom lepsze warunki jazdy niż wiele specjalnie budowanych tras pieszo-rowerowych. W wielu przypadkach biegają one po chodnikach, rzadko lub prawie wcale nie wykorzystywanych przez pieszych. Niektóre odcinki tras biegają po jezdniach, gdzie jest niewielki ruch samochodowy, zwłaszcza w dni wolne od pracy. Często jednak linia przerywana pokazuje trasy o nawierzchni gruntowej, której jakość, zwłaszcza po deszczu, naraża na ryzyko ochlapania błotem. Inne odcinki tras, których nawierzchnię warto ulepszyć, prowadzą drogami o nawierzchni z płyt betonowych gładkich lub perforowanych.

Adresaci mapy

Mapa umożliwia „zgrubne” zaplanowanie wycieczki rowerowej przez unikających nadmiernego ryzyka i słabo zaprawionych do jazdy rowerzystów rekreacyjnych i dla nich jest głównie przeznaczona. Została opracowana również dla innych mieszkańców i odwiedzających Trójmiasto i jego okolice. Białymi liniami zaznaczono drogi ruchu kołowego, co ułatwia czytanie mapy. Doświadczeni cykliści wiedzą, że mogą z nich korzystać na równi z ruchem samochodowym. Na mapie znajdują się również linie ciągle

koloru pomarańczowego. Oznaczają one obwodnicę Trójmiasta (gdzie zakazany jest ruch rowerowy) oraz drogi i ulice o intensywnym i często nadmiernie szybkim ruchu kołowym. Inaczej mówiąc, są to trasy, na które początkujący cykliści raczej nie powinni się wypuszczać (choć na wielu z nich mają do tego pełne formalne prawo). W dni wolne od pracy często panuje tam taki ruch, że wielu kierowców również woli je omijać. Tak więc i dla nich użyteczne będą informacje zawarte na mapie.

Inne obiekty

Na mapie oznaczono również linie kolejowe oraz stacje i przystanki SKM. Informacje te mogą być pomocne przy planowaniu rowerowych wyjazdów rekreacyjnych na większe odległości. Autorzy mają nadzieję, że nasze koleje zorganizują na nich sieć wypożyczalni i przechowalni rowerów. W ten sposób może wzrosnąć liczba osób mniej uzależnionych od samochodu, a Trójmiasto i my razem z nim odetchniemy świeższym powietrzem. Dla mniej cierpliwych mapa podaje również miejsca połączeń promowych z Helem i Jastarnią, gdzie świeże powietrze ma już zupełnie morski zapach i smak.

Dalsze prace nad doskonaleniem mapy

Autorzy będą wdzięczni za nadsyłanie wszelkich uwag i spostrzeżeń umożliwiających przygotowanie kolejnej, ulepszonej edycji mapy.

A więc: „Śmiało śmigajcie śródpolnymi, śródleśnymi ścieżkami”*. I nie tylko tam.

TRASY ROWEROWE TRÓJMIASTA

Panorama aglomeracji gdańskiej

LEGENDA:

-  Trasy oznakowane jako rowerowe
-  Trasy możliwe do wykorzystania (ograniczony lub wyłączony ruch samochodowy)
-  Trasy z intensywnym ruchem kołowym
-  Obszary zainwestowane
-  Główne centra obszarów zainwestowanych
-  Główne ciągi komunikacji kołowej oraz drogi do wykorzystania dla zachowania ciągłości jazdy na rowerze
-  Linie oraz stacje komunikacji kolejowej (PKP i SKM)
-  Połączenie promowe z Helem
-  Większe obszary zieleni wysokiej
-  Woda
-  Granice Trójmiejskiego Parku Narodowego oraz rezerwatów przyrody

Piotr Kuropatwiński (autor ogólnych założeń koncepcyjnych mapy)
piotr.kuropatwinski@multicon.pl

Paweł Nawojczyk (autor grafiki komputerowej i pomysłodawca przebiegu wielu tras)

*To zdanie, jak i opinię lekarza Stefana Batorego zaczerpnęliśmy z książeczki Ireneusza Wojtkiewicza „Rowerem po ziemi słupskiej”, wydanej przez Wydawnictwo Region, Gdynia 1999

ch Trójmiasta





RĘBIECHOWO

CHWASZCZYNO

KOLECZKOWO

WEJHEROWO

SOPOT

RUMIA

REDA

GDYNIA

CHWASZCZYŃSKA

CHWASZCZYŃSKA

WIELKOPOLSKA

OBWODNICA TROJMIĘSKA

GDANSK-OSOWA

GOYŃIA WŁK. KACK

KARWINY

CHWARZYN

WITOMINO

PRODIMESIE

GRABÓWEK

LESZCZYŃKI

CHYLONIA

ORŁOWO

MOŁO W OSOPIE

MOŁO W ORŁOWIE

CYPLE I REBLÓWKA

GOYŃIA PL.

PORT

OBLIŻE

POGORZE

OKSYWIE

LOTNISKO W BŁACH DOŁACH

Reda - Relowo

Mierzyno

Sopot

Géant

Géant

HIT

RUMIA

REDA

LOTNISKO W RĘBIECHOWIE

OBWODNICA TROJMIĘSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA

WIELKOPOLSKA



30dni

Archiwum

8 LAT

101.7 FM

radio dobrze nastawione

plus radio

Reklama, marketing:

Agencja FM

81-703 Sopot, ul. Kościuszki 61

tel./ Fax.: (058) 551 44 43, 551 42 12

e-mail: agencjafm@mega.com.pl

www.agencjafm.com.pl

Antena: (058) 345 55 55, 344 44 44

Radio Plus

80-215 Gdańsk, ul. Suwalska 46

tel./ Fax: (058) 347 91 43, 347 62 19

e-mail: radio@plusgdansk.pl

www.plusgdansk.pl



Portret Adama Vay de Vaya

W kościele św. Elżbiety na Starym Mieście znajduje się, tuż obok drzwi bocznych, piękne epitafium z czarnego kamienia. Ozdabiają je liczne symbole wojennego rzemiosła: tarcze i hełmy rycerskie, szable i kołczany. Napis łaciński głosi, że pochowany tu został „Eques Ungarus”, co przewodniki tłumaczą rzetelnie – szlachcic węgierski. Niewielu jednak wie, że w miejscu tym spoczywały doczesne szczątki osoby znakomitej, wielkiego marszałka Konfederacji Królestwa Węgier, Adama Vay de Vaya. Na początku XX wieku przewieziono je do ojczyzny. Pozostało epitafium (kopia z 1900 roku), będące jedynym śladem pobytu wygnańca w naszym mieście.

Tekst: Waldemar Borzestowski

OPOWIEŚĆ O ADAMIE VAY de VAYA

Urodzony w 1656 roku baron Adam Vay de Vaya był potomkiem wielkiego rodu, do którego należała ogromna posiadłość Vaye, w komitacie Szaboles na północnym wschodzie dzisiejszych Węgier. Jako młody człowiek związał się z rodziną Rakoczyców, która od wieków była dla Węgrów ostoją narodowych nadziei na odzyskanie własnego państwa. Walczył przeciw Austriakom w powstańczych szeregach Thökölego,

go los. Wkrótce obaj więźniowie, osobnymi karocami pod silną eskortą, zostali przewiezieni do niezwykle surowego więzienia Wiener Neustadt. Uznany za niebezpiecznego buntownika Franciszek II Rakoczy został skazany na karę śmierci, uniknął jej tylko dzięki awanturniczej ucieczce. Powrócił do kraju w 1703 roku na czele wiernych mu oddziałów. Wybuchło powstanie, które nabrało charakteru ogólnonarodowego, dowodzone

z Vaye: „to osobowość wielce szanowana z racji swego urodzenia, roztropności, bogactwa oraz popularności wśród szlachty”.

Wkrótce, po przegranej bitwie pod Roinhány, Rakoczy zdecydował się szukać pomocy poza granicami kraju. 21 lutego 1711 roku przyjechał do Polski, aby spotkać się z przebywającym w okolicach Jarosławia carem Piotrem. Dowództwo nad wojskiem przekazał hrabiemu Sándorowi Károlyiemu. Nie spodziewał się, że Károlyi zdecyduje się na kapitulację i przekaże Austriakom pozostające jeszcze w rękach powstańców liczne twierdze. Podpisany w Szatmár pokój gwarantował szlachcie węgierskiej przywileje narodowe i religijne oraz amnestię dla uczestników powstania. Tak oto zakończył się, trwający od 1703 roku, potężny narody zryw, który wstrząsnął monarchią Habsburgów i objął swoim zasięgiem nie tylko cały Siedmiogród, ale również Słowację, Morawy, Ruś Podkarpacką, Spisz, Wojwodinę, Styrię i Chorwację.

Grono związanych z Rakoczym wielmożów, podobnie jak on sam, nigdy nie zaakceptowało podpisanego w Szatmár traktatu i wybrało emigrację. Adam Vay de Vaya, który w przeddzień kapitulacji powstania otrzymał nominację na komendanta kluczowej twierdzy w Munkaczu, został pośpiesznie odwołany. Rakoczy tak uzasadnił swój rozkaz: „Zważywszy jednak, iż był on towarzyszem mej więziennej niedoli i że zwolniono go na bardzo ciężkich warunkach, miałem dla niego zbyt wiele szacunku, aby świadomie wystawić go na ryzyko dostania się w łapy Austriaków”. Adam Vay de Vaya podążył śladem księcia wygnańca.

W Jarosławiu, jak wspominałem, Rakoczy spotkał się z Piotrem Wielkim, u boku którego postanowił odbyć podróż najpierw Sanem, potem zaś Wisłą aż do Elbląga. Okrętowi rosyjskiego imperatora towarzyszyła cała flotylla, żołnierze z carskich regimentów zatrudnieni byli w charakterze wiosłarzy. W toku rozmów z carem Rakoczy zaczął wątpić w jego pomoc. Napisał potem: „Uważałem wszakże, że bardziej mogę liczyć na obietnice króla Francji niż na oferty władcy, którego sposób życia i działania, obyczaje i zachowanie całkowicie różniły się od moich”. Kiedy po trzech tygodniach okręty dopłynęły do Torunia, car Piotr oddał się z lubością tańcom, sutemu jedzeniu, piciu w publicznych gospodach, zmienił też swoje plany. Nagle postanowił nie płynąć już do Elbląga. Żonę i Węgrów pozostawił w Toruniu, a sam, w towarzystwie garstki sług i dworzan ruszył do wód w Karlsbadzie.

W tej sytuacji Rakoczy zdecydował się odwiedzić Gdańsk, skąd zamierzał pojechać do Berlina. Naiwnie sądził, że może liczyć na przychylność króla Prus. Dysponując carskim okrętem bez kłopotów dotarł ze swą świtą do Gdańska. Z obawy



Zachowana kopia epitafium z 1900 roku w kościele św. Elżbiety

za co przez długi czas był szykanowany. Dopiero w 1700 roku uzyskał pełną amnestię.

Od tego czasu przebywał w otoczeniu księcia Siedmiogrodu Franciszka II Rakoczego, który zaczął skupiać przy sobie opozycyjnych magnatów i szlachtę. Kiedy w 1701 roku, w wyniku prowokacji wiedeńskiego dworu, książę został aresztowany i osadzony najpierw w Epejres, a potem w Koszycach, Adam Vay de Vaya podzielił je-

przez jego generałów wojska odnosili liczne sukcesy, węgierskie zagony docierały do przedmieść samego Wiednia.

Po uwolnieniu z więzienia, Adam Vay de Vaya stanął u boku księcia, który powierzył mu bardzo wysokie i intratne stanowiska: żupanat w komitacie Békés, urząd senatora kuruckiego, a wreszcie stanowisko wielkiego marszałka. W swoich „Wyznaniach” Rakoczy wystawił wspańiałe świadectwo baronowi

przed agentami austriackimi porzucił węgierski strój i zaczął ubierać się po francusku. Przyjął nazwisko i tytuł rosyjskiego oficera i podobnie zrobili jego dworzanie. Przy wjeździe do miasta wszyscy zostali przeszuchani. W Gdańsku księżę skontaktował się z baronem Jeanem Victorem Bensvalem, ambasadorem francuskim, z pochodzenia Szwajcarem. Liczył przede wszystkim na jego serdeczność. Ambador, za przyzwoleniem dworu Ludwika, wspomagał finansowo księcia wygnanego przez cały okres jego pobytu w mieście.

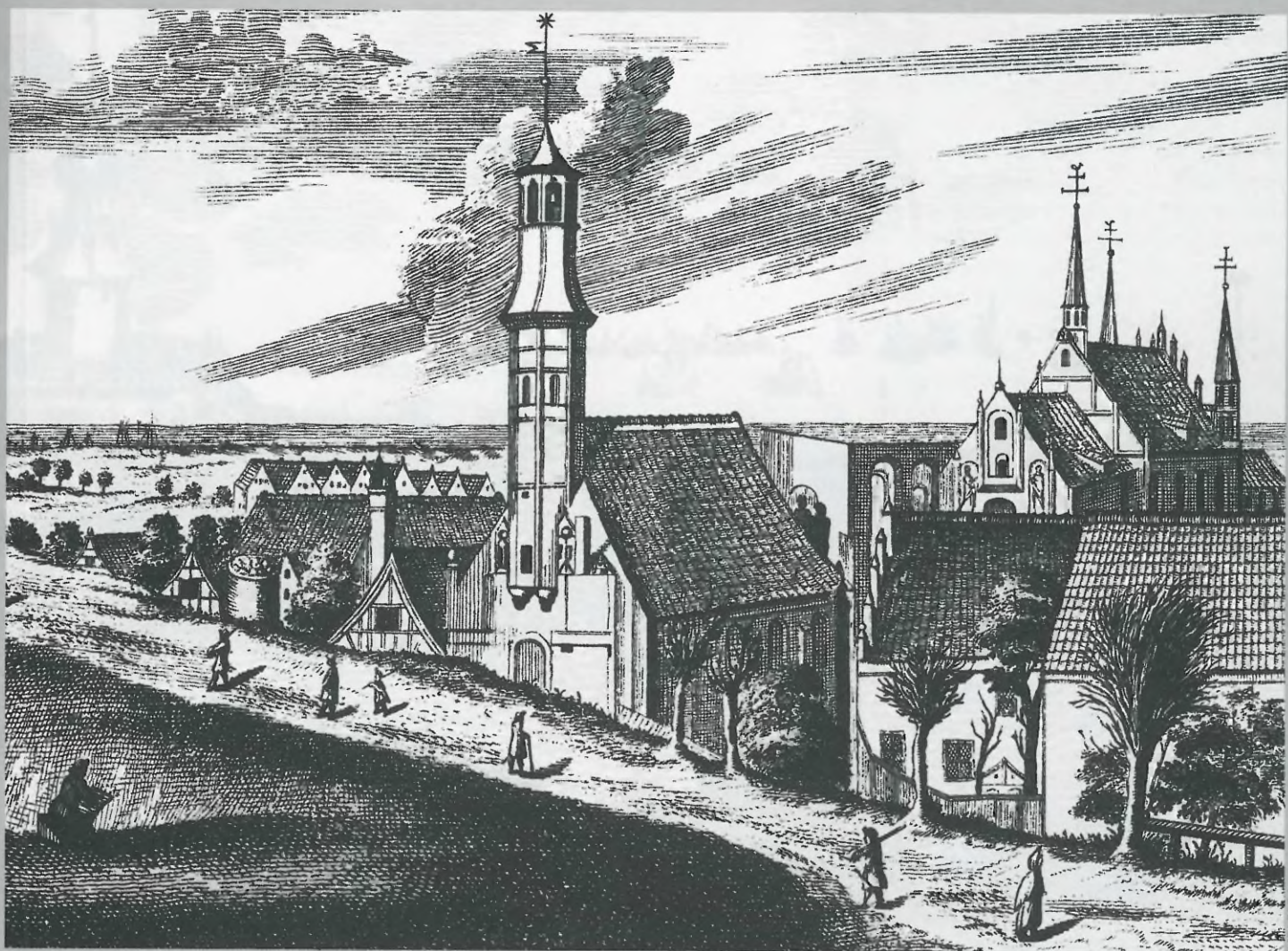
Rakoczy wreszcie odetchnął z ulgą: „Ciągłe narażony na podstępny dworu wiedeńskiego, czułem się w Gdańsku zupełnie bezpieczny (...) Jest to wolne miasto pod ochroną króla

Prócz spotkań z polskimi wielmożami interesowały go przede wszystkim miłostki. Wiele lat potem tak opisał swoje gdańskie przygody: „szukałem rozrywki w zajęciach i zabawach światowych”. I dalej: „unikalem skandalu, lecz nie grzechu. Moje otoczenie stwarzało mi okazje do nowych afektów, które prowadziły do nowych amorów”.

Po dwumiesięcznym pobycie w Gdańsku Franciszek II Rakoczy dowiedział się o przybyciu Piotra Wielkiego do Elbląga. Postanowił ponownie się z nim spotkać. Czekala go jednak przykra niespodzianka. Monarcha, wcześniej bardzo przyjazny, tym razem unikał rozmów, z obojętnością słuchał jego propozycji. Choć zaproszony do Petersburga, księżę postanowił raz na zawsze porzucić na-

sługę porzucił swoje włości i rodziny, a kiedy znaleźli się daleko od ojczyzny, ja zmuszony byłem ich odesłać do domu, bez żadnej nagrody ani renty, nie mogąc ich wyposażyć ani też dać odszkodowania za to, co utracili”. Księżę miał nadzieję, że im wcześniej powrócą do kraju, tym łatwiej uzyskają amnestię.

Liczył na poparcie zachodnich monarchów. Dlatego w listopadzie 1712 roku potajemnie opuścił Gdańsk i po pełnej niebezpieczeństw podróży, 7 grudnia, dopłynął do Anglii. Jego wygnanie trwało dwadzieścia pięć lat. Gdziekolwiek rzucił go los, snuł plany powstańcze, które nigdy nie zostały zrealizowane. Węgry na pełną niepodległość musiały poczekać aż do 1918 roku, kiedy to proklamowano republikę węgierską.



Kościół św. Elżbiety, w którym pochowano Adama Vay de Vaya, na rycinie z pracy Cunckego, koniec XVII wieku

i Rzeczpospolitej, które samo dysponuje siłą obronną i które okazuje wiele względów i szacunku królowi Francji z racji jego morskiego handlu”. Księżę Siedmiogrodu, starając się o wyjazd do Berlina (podróż ta nigdy nie doszła do skutku), prosił władze miasta o wydanie odpowiednich paszportów. Otrzymał je na nazwisko hrabiego Sáros, którym odtąd się posługiwał. Zachowując to swoiste incognito, unikał wielu wydatków przypisanych do tytułu książęcego, na które nie było go obecnie stać i mógł pozwolić sobie na więcej swobody.

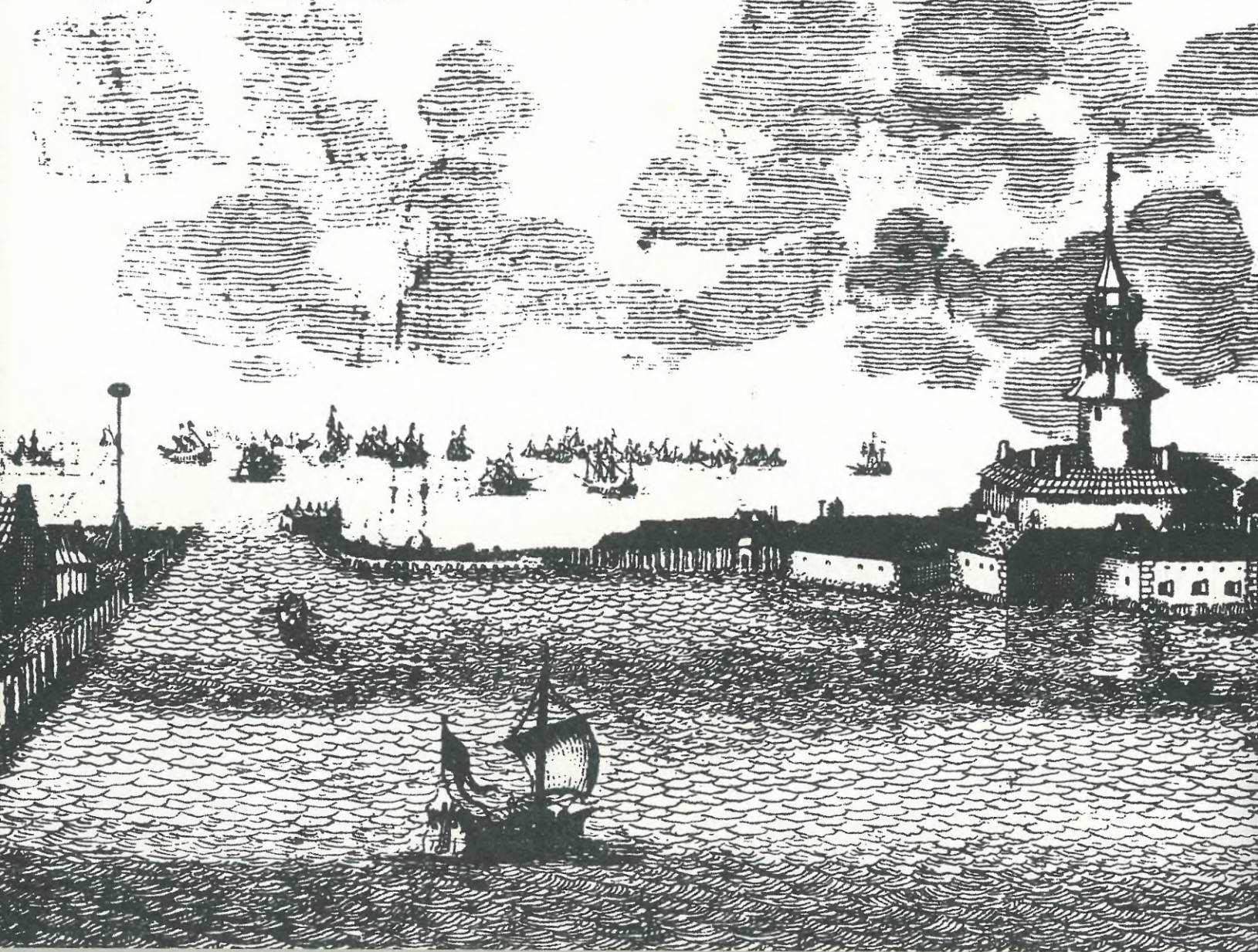
dzieje związane z carem. Być może właśnie wtedy podjął decyzję o wyjeździe na zachód Europy, do zaprzyjaźnionej Francji lub Anglii. W kilka dni po powrocie do Gdańska Rakoczy zwolnił część służby i odesłał większość ludzi ze swojej świty. Pozostawił przy sobie jedynie nieliczną grupkę dworzan, których mógł utrzymać. Napisał: „Było to jednak bardzo przykre posunięcie, zarówno dla mnie, jak i odprawionych przeze mnie ludzi. Wielu z nich wychowało się na moim dworze i traktowało mnie jak ojca; wstępując do mnie na

Franciszek II Rakoczy zmarł w roku 1735, mając 59 lat. Ostatnie lata swego życia spędził nad Morzem Czarnym w miejscowości tureckiej Rodosto, „w zamku urządzonej dlań przez sułtana z wielką wspaniałością”. Tam dzielił niemal cały swój czas między polowania a modlitwę.

Adam Vay de Vaya nie towarzyszył mu w tych wędrówkach, osiadł w Gdańsku i tu zmarł w 1719 roku. Został pochowany w nawózce kalwińskim kościele pod wezwaniem św. Elżbiety. ■

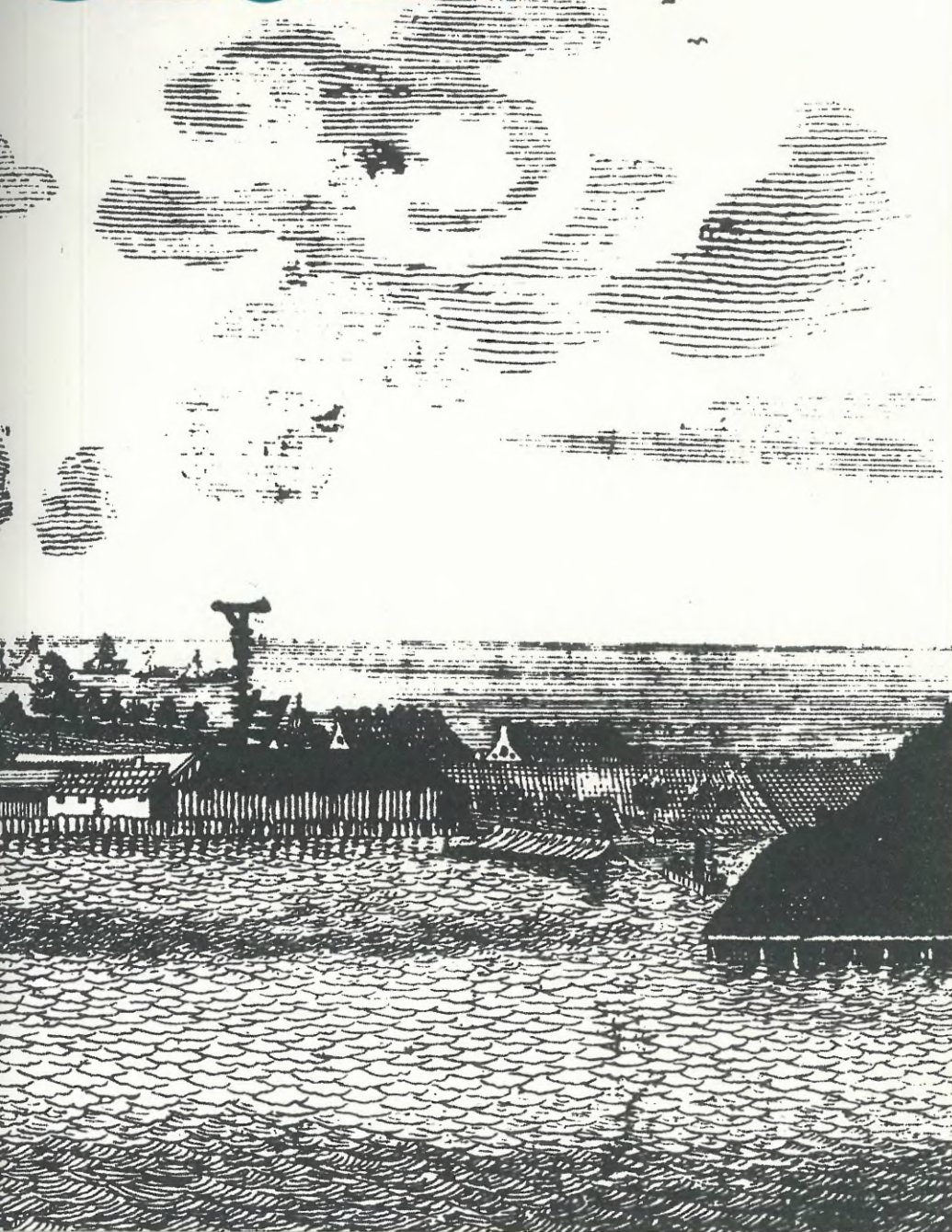
GŁĘBIA, PIASEK,

Tekst: Tymoteusz Jankowski



O roli Gdańska jako Aurea Porta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej decydowały bodaj w równym stopniu dwie okoliczności: jego lokalizacja u ujścia „złotonośnej” Wisły oraz utrzymywana przez mieszczan odpowiednia głębia między portem a redą, która sprzyjała nieskrępowanemu przepływowi statków. Bez niej niemożliwy byłby kontakt z portami całego świata. Pierwsze było darem Boga. O drugie należało nieustannie walczyć. Z kim?

CEGŁY



Reda ze statkami oczekującymi na pozwolenie wpłynięcia do Gdańska. Po lewej sterczy łata jednego z nabieżników naprowadzających okręty na wejście do portu. Rycina z dzieła Reinholda Curicke, Der Stadt Danzig historische Beschreibung, Danzig-Amsterdam 1687

Zżywiołami przede wszystkim. Wodami Wisły spływały bowiem nie tylko bogactwa naszej ziemi, ale też muły i piaski spływające jej koryto, zwłaszcza przy newralgicznym ujściu do Bałtyku. Od strony morza parły na to ujście przybrzeżne prądy, napędzające piaszczyste potoki rumowiska. Głębia między redą a wejściem portowym była bezustannie zasypywana tak przez rzekę jak i przez morze. Gdańsz-

czanie walczyli o nią, budując specjalne śluzy i mola dla kontrolowania napływu nowych ton piasku i mułów. Bez przerwy pracowały pogłębiarki, zaś specjali robotnicy wywozili taczkami na ląd stożki piaszkowe łach wynurzających się blisko brzegów.

Mimo wysiłków, z biegiem lat wyłoniła się z morza wielka łacha nazwana Osterplatte oraz powstawała następna w miejscu, gdzie wyrzucano piasek wydobyty

z pogłębianych kanatów – Westerplatte. Utrzymanie głębi między portem a redą, wobec siły napierającego nieustannie piasku, było podziwu godnym wyczynem. Gdańszczanie nie mogli się poddać. Bitwa o utrzymanie głębi była dla nich – w przenośni i dosłownie – walką o wodny korytarz łączący miasto z szerokim światem, o być albo nie być; walką prowadzoną zresztą nie tylko z siłami przyrody.

Nie wszystkie statki przyplwały do Gdańska zaształowane po brzegi towarem. Aby zapewnić odpowiednią stateczność łęż obciążonym jednostkom albo płynącym zupełnie bez ładunku, szyprowie dociążali je tonami piasku balastowego. Ten balast należało gdzieś zrzucić przed podejściem do nabrzeża przeładunkowego. Można było to zrobić tylko na odpowiedniej głębi albo w porcie w specjalnie wyznaczonym miejscu, co zmuszało załogi do wykonywania odpowiednich manewrów, niekiedy przepłynięcia dodatkowych mil, no i przede wszystkim wymagało czasu. Najlepszym miejscem byłaby reda, gdzie i tak na wejście do portu wypadło czasem czekać wiele dni, albo – kanał portowy.

Szyper Hubert Dirksen pozbył się balastu nie tam, gdzie powinien. Wyłożył z tego tytułu do kasy miejskiej Gdańska grzywnę w wysokości 100 talarów, za które mógłby nabyć nad Motławą ponad łaszt żyta albo pięć dobrze utuczonych wieprzów. Wydarzyło się to w kwietniu 1637 roku. Artykuł 108 wilkierza z połowy XV wieku przewidywał wysoką grzywnę za takie wykroczenie dokonane podczas dnia. Gdyby szyper dopuścił się podobnego czynu nocą, z mocy artykułu 107 tego samego wilkierza ani chybi zapłaciłby gardłem.

Same przepisy wilkierza dotyczące ochrony głębi niczego by nie dały. Już u schyłku XV wieku Rada Miejska wyznaczyła urzędników, których zadaniem było pilnowanie załóg statków kotwiczących na redzie. Ci dozorczy redy – tak później ich nazywano – mieli obowiązek podpływać do jednostek oczekujących na wejście do portu i odczytywać załogom zarządzenia dotyczące zasad pozbywania się balastu, ostrzegać przed grożącymi karami oraz informować o stanie tutejszej głębi. Wyrzucanie zbędnego balastu poza miejscami wyznaczonymi w porcie dozwolone było jedynie na wodach o głębokości przekraczającej dwadzieścia stóp. Po udzieleniu pouczenia dozorczy dokonywali pomiaru wynurzenia statku i notowali go sobie. Jeśli po jakimś czasie stwierdzali nieuzasadnioną zmianę, zawiadamiali władze miejskie i dla szypra oznaczało to początek niemałych kłopotów.

Zrozumiałe, że statki oczekujące na wejście do portu częściej wytracały zanurze-



Wyraźnie zaznaczone pływizny oraz tzw. głębia północna łącząca w 1673 roku redę z portem gdańskim (ta ostatnia – z podanymi głębokościami). Plan i widok twierdzy Wisłoujskie E. Strakowskiego

nie niż im go przybywało, co następowało albo wskutek zrzucenia balastu, albo zejścia na ląd części pasażerów i załogi, albo dokonania wyladunku towarów na kursu – między redą a portem burdyny. Zmieniający się na służbie dozorczy mieli obowiązek przekazywania sobie zanotowanych pomiarów i informowania o sytuacji.

Początkowo miasto zatrudniało bodaj tylko dwóch dozorców. Przez cały okres żeglugowy – od wiosny do jesieni – pracowali nieustannie, pełniąc na zmianę całodobowe dyżury na redzie. Również zimą pozostawali w dyspozycji miasta, gotowi wypłynąć, gdyby zgłoszono im pojawienie się statku.

W 1637 roku Rada Miasta wydała specjalną ordynację regulującą drobiazgowo służbę dozorców redy, przechowywaną w zbiorach gdańskiego Archiwum Państwowego, oraz ustanowiła urząd nadzorcy redy. Taka potrzeba wynikła z powodu niesumiennego traktowania służby przez dozorców, którzy nierzadko „nie dostrzegali” zmian wynurzenia statków, odpowiednio opłaceni przez nieuczciwych szyprow. Zdarzało się też, że nocami zamiast czuwać spali lub zawzięcie łowili ryby. W tym samym, 1637, roku zwiększono do czterech liczbę dozorców redy. Do obowiązków nadzorcy należały nocne kontrole dozorców przeprowadzane nie rzadziej

Począwszy od 1593 roku, natychmiast po wiosennych ustąpieniach lodów, wypływała na redę komisja złożona z przedstawicieli wszystkich gdańskich ordynków i badała stan głębi oraz wyznaczała pławami najdogodniejszy dla żeglugi tor wodny do portu, który w krótkim czasie wytyczano zakotwiczonymi beczkami. Moło poprowadzone na północ od twierdzy Wisłoujskie (Weixel Munde) chroni wejście do portu przed zapiaszczeniem. Fragment mapy z dzieła Reinholda Curicke, Der Stadt...



niż trzy razy w tygodniu oraz porównywanie sporządzanych przez nich pomiarów z rzeczywistymi. Częste kontrole oraz wysokie kary wymierzane nieuczciwym dozorcóm skutecznie wpłynęły na rychłą poprawę ich pracy oraz zmniejszenie zagrożenia głębi, przynajmniej ze strony lekceważących przepisy szyprów.

Nie sam piasek balastowy, zrzucały w niedozwolonych miejscach, zagrażał gdańskiej głębi. Nieobojętne dla powstawania pływów w samym porcie i na dojeździe do redy było ówczesne nagminne zanieczyszczanie środowiska materiałami co prawda naturalnego pochodzenia, niemniej wielce niepożądanymi, takimi jak słoma, maty i „insze plugastwo”.

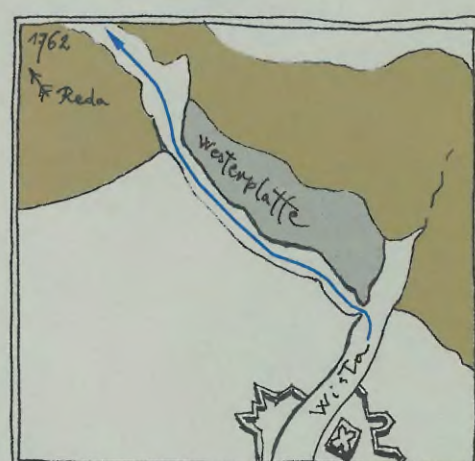
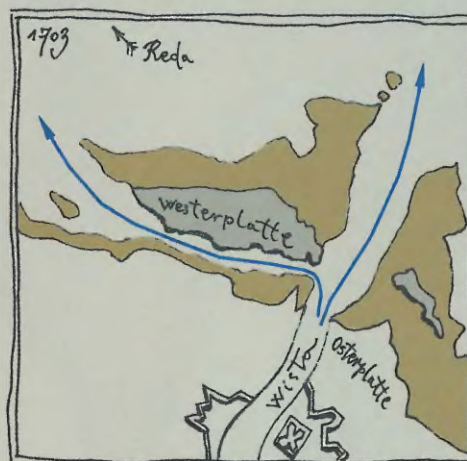
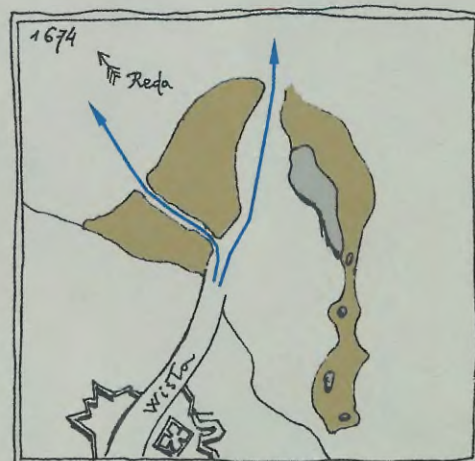
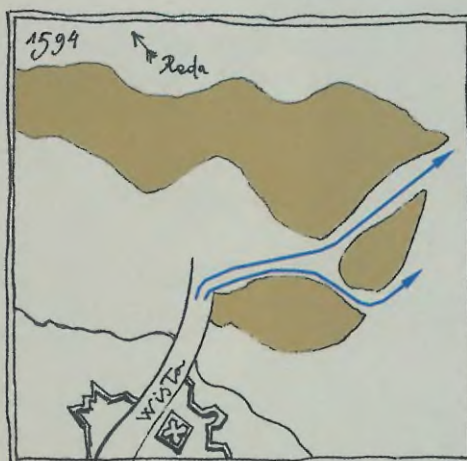
Czystością wód wewnątrzportowych oraz w ogóle szeroko rozumianą organizacją ruchu w porcie zajmowali się tzw. strażnicy wodni, którzy między innymi czuwali nad korytem Motławy, tzn. przestrzegali, by go nie blokowano porzuconymi wrakami lub też spływano śmieciami czy zrzucanym bezprawnie balastem. Okazuje się, że największymi brudasami były – niestety, niestety – zalogi statków śródlądowych przybywających Wisłą z głębi Polski. 22 maja 1754 roku rada miasta wydała w związku z tym specjalny edykt, którego obszerny fragment przytaczamy za Czesławem Biernatem: „Wszystkim wobec i każdemu z osobna podaje się do wiadomości: Postrzegłszy, że Motława przez różne rupiecie, ale osobiwie przez słomiane maty, które z polskich statków w nią wrzucane bywają, bardzo zagnojona i nieczysta uczyniona bywa, to zaś nie tylko wielu obywatelom miasta ku wielkiemu uprzykrzeniu służy, ale też do wyczyszczenia Motławy potrzebne wydatki znacznie przymnażają. Więć szlachetna rada mocą swego jako zwierzchności mającego urzędu niniejszym edyktem wszystkim i każdemu, osobiwie tym z polskimi statkami na dół przychodzącym sternikom, dziesiętnikom i flisom surowo zakazuje żadnych słomianych mat albo więc inszego plugastwa ze statków w Motławę wrzucać pod surową karą, kto by przeciwko temu wykraczając był znaleziony. Uprasza się też oraz tym edyktem i panów polskich szyprów, swoim pod sobą stojącym ludziom ostro rozkazać, żeby wyżej wyrażonym, albo więc inszym jakim sposobem Motławy plugawić się nie ważyli”. („Życie portowe...” s. 236-237)

W pierwszej połowie XVII wieku najczęściej zawiąły do Gdańska statki żeglujące pod banderą niderlandzką. Domyślać się zatem możemy, skąd płynęło najwięcej piasku balastowego. Być może właśnie dlatego Rada Miejska zwróciła się w 1635 roku do rezydenta niderlandzkiego, by nakazał rodakom wyrzucanie balastu wy-

łącznie w okolicy... Zatoki Puckiej. Sądząc po obecnej płyciznie tamtego akwenu, można zadawać sobie pytanie, czy nie została częściowo usypana z balastu holenderskich okrętów.

Szyprówie opuszczający Gdańsk bez ładunku mogli bez kłopotu zaopatrzyć się w piasek balastowy w okolicach ujścia Wisły, za który nie musieli płacić. W pewnych okresach miasto nawet oddawało do dyspozycji takich szyprów potrzebny do załadunku sprzęt, jak łopaty, taczki czy deski. Niekiedy pod balast przeznaczano piasek z miejsc przewidzianych pod inwe-

prawdopodobnie budowniczowie Ratusza Staromiejskiego. Z drobnej cegły, kto wie, czy nie holenderskiej proveniencji, wzniesiono słynne domy astronoma Heweliusza i dziesiątki innych budowli barokowych w mieście i okolicy. Również, jak podaje Georg Cuny, Zieloną Bramę wykonano w całości z „amsterdamskiej cegły” małego formatu, którą mistrz budowlany Regnier, pracujący tu w latach 1563-1572, zamówił w Amsterdamie z polecenia miejskiego przedsiębiorcy budowlanego Joachima Lisemanna i kazał dostarczyć w ładunku okrętowym. ■



Zmiany kierunku głębi w Wisłoujściu wg Cz. Biernata ■ głębia ■ pływ ■ lacha

stycje obronne, jak to było na przykład w 1684 roku, kiedy rada nakazała wybierać piasek wyłącznie z tzw. starego szanca, który przestał się sprawdzać w ówczesnym systemie obronnym.

Przysparzający naszej głębi tylu kłopotów piasek Holendrów zaczęli już w XVI wieku zastępować tzw. cegłą balastową, nazywaną też „cegłą holenderską”. Jej transport nie kosztował a przy tym dostarczał dodatkowego zysku. Były to cegły zwykłe i klinkierowe najczęściej o wymiarach 28 x 14 x 7 oraz 26 x 13 x 6 centymetrów. Na dużą skalę przywożono też – również jako balast – poszukiwane nad Motławą holenderskie dachówki. Jedne i drugie były cenione za wysoką jakość i konkurencyjną cenę. Niemal ich użyli

WYKORZYSTANO:

Biernat Cz., *Handel, żegluga, wytwórczość* [w:] *Historia Gdańska*, pod red. E. Cieślaka, Gdańsk 1993, t.2/II

Biernat Cz., *Życie portowe Gdańska w XVII-XVIII wieku*, [w:] *Szkice z Dziejów Pomorza*, t.2, Warszawa 1959

Cuny G., *Danzigs Kunst und Kultur im 16. Und 17. Jahrhundert*, Frankfurt am Main 1910

Habela J., *Ratusz Staromiejski w Gdańsku*, Wrocław 1975

Massalski R., Stankiewicz J., *Gdańsk, jego dzieje i kultura*, Warszawa 1969

Simson P., *Geschichte der Danziger Willkür*, Danzig 1904

Stankiewicz J., *Urbanistyczny i przestrzenny rozwój miasta* [w:] *Historia Gdańska*, pod red. E. Cieślaka, t.2, Gdańsk 1982



Tekst: Mieczysław Abramowicz

ALE CYRK!

BYŁ SOBIE...

„Bezwarunkowo największą sensacją w dniu wczorajszym w Gdańsku był wielki pochód uroczysty artystów i zwierząt cyrku największych atrakcyj Buscha, który rozbij namioty na placu dorocznych kiermaszów gdańskich, przy moście Breitenbacha”, donosiła 5 września 1935 roku w entuzjastycznej relacji „Gazeta Gdańska”.

Rzeczywiście „wielki pochód uroczysty” był dla gdańszczan tego dnia największą atrakcją. Co prawda kilka dni wcześniej mieli okazję oglądać inny przemarsz (pododdziałów S.A. i towarzyszy z NSDAP, którzy za kilka dni mieli reprezentować gdańskich hitlerowców na dorocznym Parteitagu w Norymberdze), ale gdzie im tam do pochodu cyrkowców! Tym bardziej, że ulicami Gdańska przemaszerowali najwięksi artyści największego cyrku niemieckiego: Cyrku Buscha, założonego przez zmarłego kilka lat wcześniej Paula Buscha, najsłynniejszego w Europie wołyżera i tresera koni.

Nim jednak doszło do pochodu ulicami Gdańska wielu mieszkańców miasta asystowało przy powitaniu cyrku na dworcu towarowym. 2 września z samego rana przybyły tam „specjalne pociągi” załadowane sprzętem cyrkowym, wiozące kilkuset wykonawców i cztery setki zwierząt. Do wyładowanych z kolejowych wagonów wozów cyrkowych zaprzężnięto specjalnie sprowadzone traktory, które przewiozły cyrk na plac przy Moście Siennickim. Tam natychmiast przystąpiono do budowy miasteczka cyrkowego, czemu z wielkim zainteresowaniem przyglądały się tłumy gapiów.

Do ustawienia głównego wielkiego namiotu cyrkowego nie wystarczyły siły pracowników Cyrku Buscha, zaangażowano więc kilkuset ro-

botników z Gdańska. Czteromasztowy namiot ustawiono pośrodku placu, a wokół niego kilka mniejszych namiotów „stajennych”, w których zgromadzono setki zwierząt (wielbłądy, słonie, kilkadziesiąt koni, które zawsze były gwoździem programów Paula Buscha, psy, egzotyczne ptaki, foki oraz oczywiście lwy, tygrysy i niedźwiedzie). Aby podnieść atrakcyjność cyrkowego miasteczka, w pobliżu jednego z namiotów stajennych urządzono ogólnodostępny zwierzynek, w którym „jest dużo zwierząt ze wszystkich kontynentów, których nie posiadają nawet wielkie ogrody zoologiczne”.

Jedną z najważniejszych prac organizacyjnych było jednak ustawienie pięciu ogromnych wozów-basenów o pojemności stu tysięcy litrów każdy, które już pierwszego dnia napełniono wodą. Miały się one stać elementem największej atrakcji Cyrku Buscha – wielkiej pantomimy wodnej „Zemsta Kalifa”.

Wszystko dla ludzi

Organizatorzy przedstawień Cyrku Buscha potrafili zadbać o widzów. Już od kilku dni we wszystkich gazetach gdańskich ukazywały się ogłoszenia reklamujące występy.



Specjalnością Cyrku Buscha były akrobacje wołyżerów. Cyrkowy pochód na Zielonym Moście

FOTO: F. MULLER / ZBIORY PRYWATNE



FOTO: F. MÜLLER / ZBÓRNY / WYWIATNE

„Przedstawiciele kolorowych narodów” podczas pochodu na ulicy Stągiewnej

Opisywano w nich wszelkie atrakcje, które czekają gdańszczan, niespotykaną wielkość cyrku (trzystu artystów, nie licząc personelu pomocniczego, czterysta zwierząt, tysiąc wyjątkowej piękności kostiumów, unikalne urządzenia oświetleniowe, baseny z wodą), a dla niedowiarków przywoływano cytaty z gazet z tych miast, w których Cyrk Buscha już występował. Nieodmiennie powtarzały się określenia: „cudowny”, „zachwycający”, „znakomity”. Warszawska popołudniówka „Dobry Wieczór” w entuzjastycznym sprawozdaniu pisała: „Takiego zachwycającego, czarodziejskiego widowiska Warszawa nigdy jeszcze nie widziała!”.

Trudno więc się dziwić, że pobytowi Cyrku Buscha w Gdańsku towarzyszyło wielkie zainteresowanie publiczności. Kolejki przed kasami na placu cyrkowym i przy Podwalu Grodzkim ustawiały się już na dwa dni przed przyjazdem. W przededniu premierowych widowisk (cyrk występował w Gdańsku przez kilka dni dwa razy dziennie) wykupiono wszystkie bilety, mimo, że na jedno przedstawienie wchodziło cztery i pół tysiąca osób. Ceny nie były zbyt wygórowane (do 5-6 guldenów), a mimo to bezrobotni, „rentobiorcy”, inwalidzi wojenni i dzieci do lat dwunastu płacili połowę sumy. Cyrk zapewniał tanie zimne napoje i drobne przekąski, a dla

tych, którzy nie przyszli na piechotę, zorganizował specjalny, strzeżony „park dla samochodów, motocykli i rowerów”.

Przedstawiciele kolorowych narodów

Premierowe spektakle odbyły się 2 września, a już dwa dni później cyrkowcy zaofiarowali gdańszczanom bezpłatny występ na ulicach miasta. O godzinie 11 z miasteczka cyrkowego wyruszył „wielki pochód uroczysty artystów i zwierząt”.

„W pochodzie wzięli udział artyści we wspólnych, drogocennych kostiumach, grupy jeźdźców, przedstawiciele kolorowych narodów, konie w galowej uprzęży, egzotyczne zwierzęta i dwie orkiestry”. Pochód wyruszył spod wielkiego namiotu ulicą Siennicką w stronę Głównego i Starego Miasta, a potem między innymi Długim Targiem, Długą, Targiem Drzewnym i Węglowym do Placu Hanzy, gdzie zawrócił, by po ponad dwugodzinnym przemarszu powrócić do miasteczka cyrkowego.

Na całej trasie cyrkowcom towarzyszyły tysiące gapiów. Być może dlatego żadna z gazet gdańskich nie zamieściła zdjęć tego niewątpliwego wydarzenia: skojarzenie „przedstawiciele kolorowych narodów” z maszerującymi tymi samymi ulicami kilka dni wcześniej „przedstawicielami rasy panów” było chyba nie do przyjęcia dla hitlerowskiej cenzury. A ponadto mogłoby się komuś wydać, że gdańszczanie tak samo chętnie oglądają Cyrk Buscha, co i „cyrk” Forstera... „Na chodnikach ulic, które mi przeciągał pochód, utworzył się szpaler z przechodniów i młodzieży szkolnej z niższych klas, którą specjalnie zwolniono z ostatnich godzin lekcji, aby umożliwić jej wzięcie udziału w darmowym widowisku pierwszej klasy. Pochodowi towarzyszyły szczere okrzyki zachwytu wielotysięcznego tłumu dzieciarni” – donosiła „Gazeta Gdańska”.

Porwanie pięknej Fatimy

Główną specjalnością Cyrku Buscha była od początku jego istnienia wyśmienita tresura koni „szlachetnych ras” oraz „wywołujące grozę i podziw” numery z udziałem zwierząt drapieżnych. Również ogólny poziom artystyczny pokazów Buscha był jego wizytówką i tym, co wyróżniało go od innych tego typu przedsięwzięć w Europie i Ameryce. Artyści Buscha przykładali wielką wagę do wysokiego poziomu scenografii, jako pierwsi zaczęli wprowadzać w swoich pokazach, m.in., wyszukane efekty świetlne i bogate triki pirotechniczne. Stąd też w pierwszej połowie lat trzydziestych gwoździem programu Cyrku Buscha była wielka pantomima wodna pt. „Zemsta Kalifa”. Jej fabuła nie była może zbyt skomplikowana i wyszukana, ale za to jaka oprawa sceniczna!

Scena (a raczej arena) przedstawiała w pierwszej odsłonie arabską pustynię i zagubioną w niej oazę. Na arenę wjechał wy-



FOTO: RG-PAN

Po przejściu pochodu artystów Cyrku Buscha tłum gdańszczan ruszył do swoich normalnych zajęć

tworny i niezwykle bogaty orszak pięknej Fatimy, oblubienicy tytułowego Kalifa. Karawana – jak to na pustyni – składała się z wielu wielbłądów ubranych w szykowne kapy, słoni i koni, które dosiadali bitni wojownicy Kalifa. Orszak zmierzał do oazy, w której Kalif oczekiwał na Fatimę. Niestety! W pewnym momencie na karawanę napadli Beduini pewnego znacznego księcia i po krótkiej walce porwali nieszczęsną Fatimę. Na szczęście nasz dzielny Kalif naszedł pałac Księcia wraz ze swoimi wojownikami i odbił ukochaną. Wszystko skończyło się szczęśliwie bogatym weseliskiem w oazie; Kalif i Fatima żyli długo i szczęśliwie.

Zupełnie słusznie realizatorzy tego wielkiego widowiska wodnego reklamowali je jako największą rewelację programu. Aby je wystawić zaangażowano wszystkie siły cyrku. Wielkie baseny, wypełnione pół milionem litrów wody, były nie tylko jeziorem w oazie Kalifa i fosą pałacu Księcia, ale również „weneckimi kanałami”, po których w noc poślubną pływa Kalif z Fatimą. Co chwila z basenów wytryskiwały w niebo „czarodziejskie fontanny” podświetlane kolorowymi reflektorami, a specjalne maszyny wytwarzały „morskie” fale, budząc wśród widowni niespotykany zachwyt. Przepych karawany Fatimy był rzeczywiście czymś, czego Gdańsk jeszcze nie widział; ponad stuosobowy orszak mienił się i skrzył od złotych cekinów i drogocennych kamieni, a wymyślne kostiumy dworzan zapierały dech w piersiach widzów.

Jednak największe atrakcje czekały publiczność w scenie ślubu Fatimy i Kalifa. Bowiemy to wtedy przed nowożeńcami, a zatem również przed gdańską widownią, zaczęli swoje popisy najwięksi artyści cyrku. Na arenie pojawili się fakirzy ze swoimi sztuczkami, polykacze ognia i azjatyckie tancerki, którym nie wystarczyła podłoga areny: swoje popisy prezentowały na rozpiętych wysoko linach. Po linoskoczkach przyszedł czas na popisy treserów dzikich zwierząt. Największe wrażenie wywarł „taniec” grupy słoni i występy woltyżerów. Wszystko to odbywało się w specjalnie wyreżyserowanych światłach, wśród kolorowych błysków i wybuchów, które później przez sprawozdawców prasowych uznane zostały za jeden z najciekawszych elementów prezentacji Cyrku Buscha.

„Jeszcze nigdy nie widzieliśmy takiego czarodziejskiego widowiska” – podsumował występ artystów Buscha sprawozdawca hilerowskiego „Der Danziger Vorposten”.

Krokodyla daj mi luby...

O tym, jak wielką atrakcją dla gdańszczan były wszelkie „dzikie bestie” świadczy również fakt z sierpnia 1938 roku, kiedy to w Motławie pławiał się autentyczny... krokodyl. „Gdańsk, miał w środę [3 sierpnia 1938 – MA] nielada sensację. Z basenu pokazu zwierząt tropikalnych, stanowiącego atrakcję odbywającego się obecnie jarmarku »Dominika«, zbiegł w nocy krokodyl. Bestia, dostawczy się do pobliskiej Motławy, czuła się nad

Bałtykiem, niby w Nilu” – donosił sprawozdawca „Kuriera Bałtyckiego”. Krokodyla odkryli w rzece robotnicy, którzy przeprawiali się promem przy Wallgasse. Rankiem, w drodze do pracy, ujrzeli ku swemu przerażeniu „300-letniego Ottokara” (takim pseudonimem artystycznym ochrzcił potwora jego pogromca), który jak gdyby nigdy nie wygrzewał się w porannym słońcu.

Już w następnych minutach nad Motławą powstał powszechny zgłęb. „Kobiety i dzieci rzuciły się w popłochu do ucieczki, waleczniejsza zaś część rodzaju męskiego postanowiła »uwolnić Wolne Miasto« od niezwyklego intruza”. Wieść o „smoku” w Motławie obiegła Gdańsk lotem błyskawicy. Wkrótce na obu brzegach rzeki zgromadził się tłum żądnych sensacji mieszkańców miasta z blizszych i dalszych okolic. Bardzo szybko na miejscu znalazły się oddziały policji, straży ogniowej i straży portowej. „Tymczasem uwolniony z klatki zwierzę pławiał się w wodzie, a będąc przyzwyczajony do publiczności, rozpoczął istne popisy cyrkowe w rzeczonym basenie. »Ottokar« nurkował, to znów wylaniał się w miejscu, gdzie go się najmniej spodziewano, znowu znikał, prychał jak foka i... bawił przygodną widownię”.

Zorganizowana samorzutnie oblawa rozpoczęła polowanie. Jednak mimo dużej liczby łowczych Ottokarowi udawało się przez wiele godzin wymykać pościgowi. Wszyscy mieli wrażenie, że zwierzę świetnie się bawi i te bezkrwawe łowy sprawiają mu przyjem-

ność. Ponieważ polowanie przeciągało się, pojawiły się bardziej radykalne pomysły: „jedni domagali się, by sprowadzić pluton egzekucyjny, który by salwą karabinową poczęstował groźnego zwierzę, inni doradzali, by łodzią podwodną ścigać w rzecznych falach egzotycznego pływaka”. Na szczęście dla Ottokara nad Motławą pojawił się w końcu właściciel krokodyla, który ze łzami w oczach błagał, by oszczędzić jego „robaka”. Pogromca wypłynął łódką na Motławę i czuły słowy próbował zwabić Ottokara. Ten jednak na wołania nie reagował, pojawienie się właściciela uznał widać za kolejny etap zabawy. Pozwalał się nawet chwycić za ogon, by później w jednej chwili zniknąć w otmętach rzeki. Polowanie przeciągało się z godziny na godzinę, na brzegach Motławy tłum rósł z każdą chwilą, a Ottokar w dalszym ciągu beztrząsł się w rzece.

„Dopiero głód zmógł dziką bestię. Trzy-wiekowy »Ottokar« odczekawszy pory zwykłego porządku, z własnej woli podpłynął do roniącego krokodyla łyż pogromcy i z widocznym zadowoleniem pozwolił się wciągnąć do łodzi”. Następnie w asyście „tysięcznej gawiedzi” skrepowanego krokodyla odprowadzono do basenu dzikich zwierząt na jarmarku dominikańskim.

Ślonie na ulicy

Ulica wielkiego miasta nie jest naturalnym środowiskiem dla dzikich zwierząt. Stąd też pojawienie się „dzikiej bestii” w murach miasta zawsze pozostaje atrakcją. Tak było, m.in., jesienią 1935, kiedy na dachach Głównego Miasta baraszkowała sobie w najlepsze niewielka małpa, która uciekła przez otwarte okno mieszkania. Bohaterka kilkugodzinnego zamętu w mieście doczekała się nawet

zdjęcia w „Danziger Neueste Nachrichten”, ale podobnie jak Ottokar sama wróciła do swego zrozpaczonego właściciela.

Podobną sensację wzbudzały w latach powojennych wędrujące ulicami Gdańska... słonie. Raz była to słonica, którą opiekun z ogrodu zoologicznego w Oliwie musiał zaprowadzić do weterynarza, innym razem słonie, które spacerem po ulicach reklamowały występy przyjezdnego cyrku. Jak to zwierzę, które pod koniec lat pięćdziesiątych lub na początku lat sześćdziesiątych uwiecznił na zdjęciu Zbigniew Kosycarz.

Dawno już ulicami Gdańska nie maszerował słoń. Zapewne również dlatego, że spotkałoby się to z protestami „zielonych”. Ale kiedy znów na ulicy Długiej zjawi się wielkie zwierzę z trąbą, spotka się zapewne z takim samym zainteresowaniem jak „bestie” z Cyrku Buscha w roku 1935. ■

Taki widok zawsze wzbudza sensację, ulica Długa, lata pięćdziesiąte XX wieku



ZAGINIONE OBRAZY

Reinholda Bahl

Tekst: Helena Kowalska



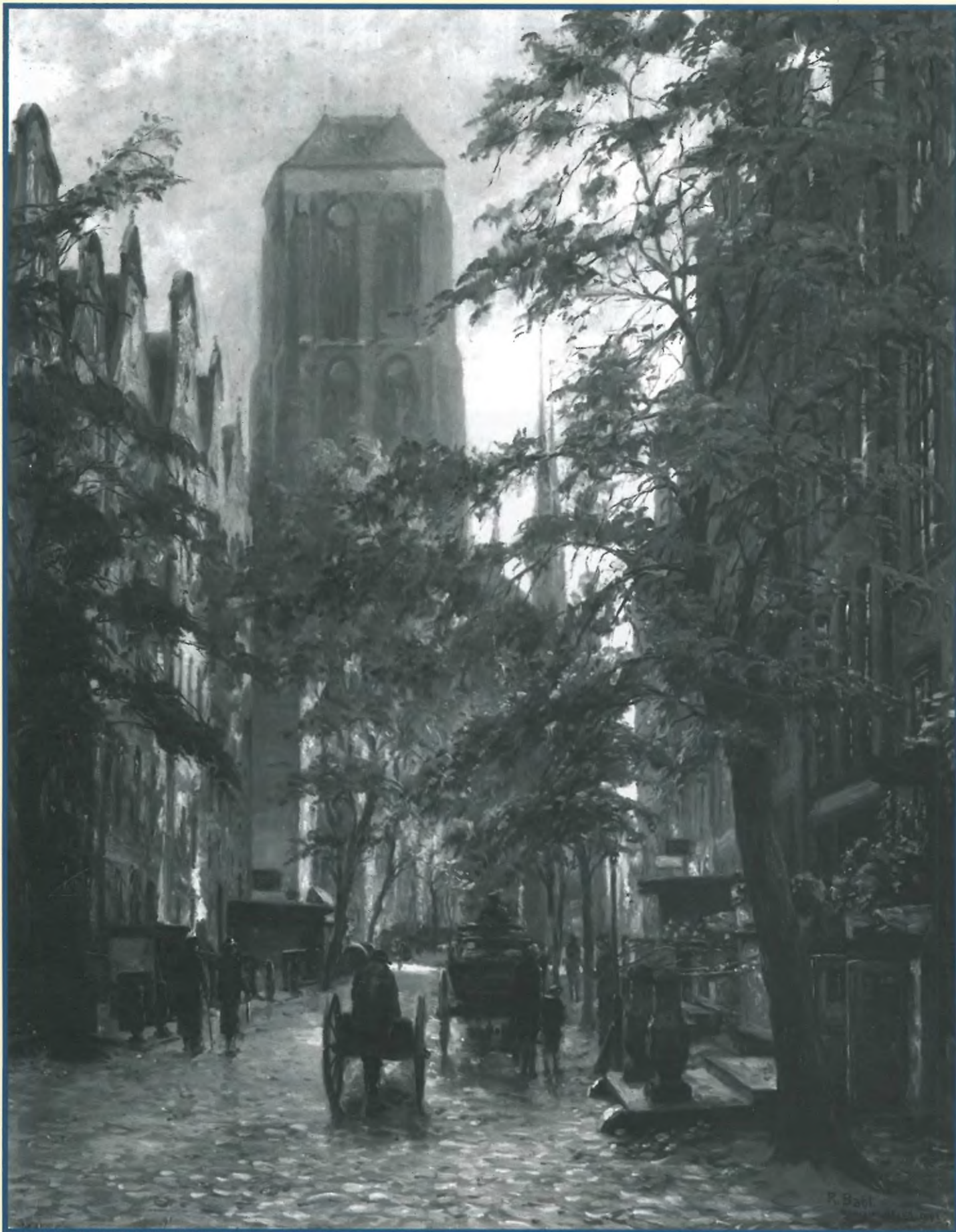
Ulica Chlebnicka

Zapis z informacją o wypożyczeniu tego obrazu Urzędowi ds. Handlowych (pozycja 133)

131 4/24 Bahl, Reinhold	Kon. 47 51	Kon. 799 117	Landmannstraße 9, Pöhl
		Adress 820 143	Landmannstraße
132 5/54 Bahl, Reinhold	Kon. 47 51	Kon. 799 117	Landmannstraße 9, Pöhl
		Adress 820 143	Landmannstraße
133 7/54 Bahl, Reinhold	Kon. 47 51	Kon. 799 117	Landmannstraße 9, Pöhl
		Adress 820 143	Landmannstraße
134 5/45 Bahl, Reinhold	Kon. 47 51	Kon. 799 117	Landmannstraße 9, Pöhl
		Adress 820 143	Landmannstraße

Urokliwe uliczki dawnego Gdańska, stare kościoły i zaułki były zawsze wdzięcznym tematem malarskim dla wielu artystów.

W archiwum Muzeum Narodowego na uwagę zasługują cztery zdjęcia obrazów, które przedstawiają Gdańsk namalowany w pełni lata 1943 roku. Możemy przyrzuć się ulicy Chlebnickiej, ulicy Pivnej z wido-



Ulica Piwna z widokiem na kościół Panny Marii

kiem na kościół Panny Marii, ulicy Karpiej na Zamczysku, wreszcie widokowi tarasu willi podmiejskiej na Polankach lub z okolic Gdańska (może Brzeźno?). Te nastrojowe obrazy utrzymane są w klimacie

malarstwa impresjonistów francuskich i paryskich pejzaży Montmartu, które malował Utrillo.

Ich autorem jest Reinhold Bahl (żył w latach 1869-1945), uczeń znanego i ce-

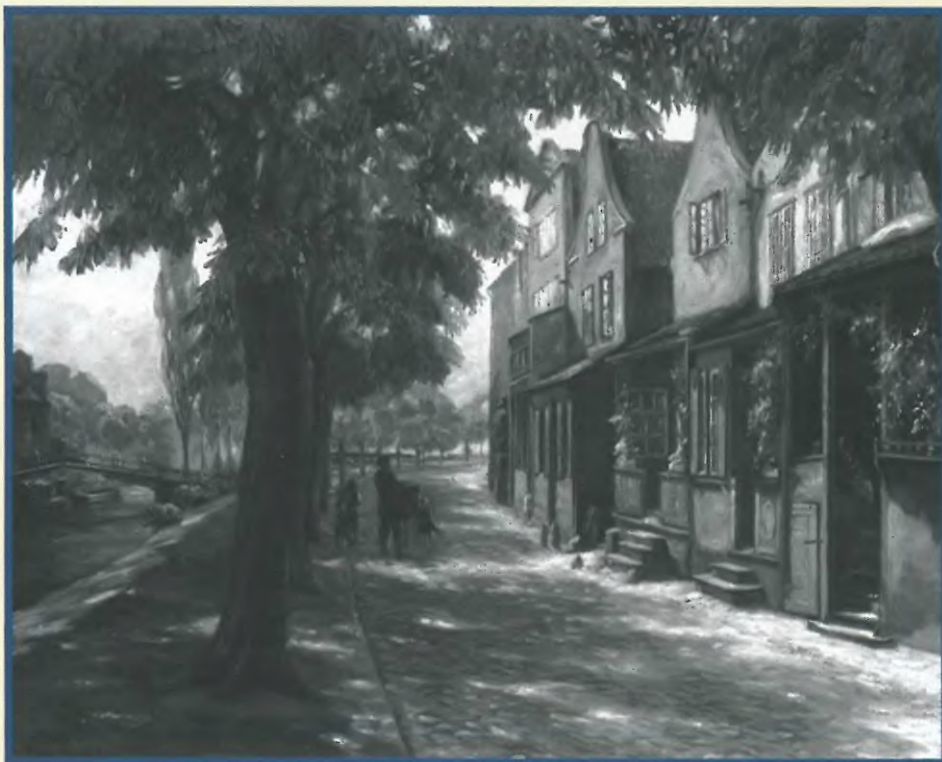
nionego w Gdańsku malarza scen rodzajowych, Wilhelma Augusta Stryowskiego. Bahl, podobnie jak jego mistrz, całe swoje twórcze życie poświęcił rodzinnemu miastu, jeśli nie liczyć okresu studiów w ber-



Widok tarasu podmiejskiej willi (być może przy Polankach lub w Brzeźnie)

lińskiej Akademii Sztuk Pięknych i artystycznej podróży do Francji i Włoch. Wykonał wprawdzie kilka portretów i utrwalil też na płótnie wnętrza pracowni Wilhelma Stryowskiego, ale najwięcej uznania przyniosły mu pejzaże miejskie Gdańska.

Z muzealnych dokumentów archiwalnych przywołać warto jeszcze jedną informację. W latach trzydziestych i czterdziestych ze zbiorów Muzeum Miejskiego wypożyczane były obrazy do dekoracji urzędów państwowych i gmachów użyteczności publicznej. Z zachowanego rękopiśmiennego zapisu wiemy, że obraz „Ulica Chlebnicka” został wypożyczony 17 maja 1944 roku do siedziby Zarządu Urzędu ds. Handlowych, który mieścił się na tyłach Ratusza Głównego Miasta. Niestety, obraz nigdy już nie powrócił do muzeum. Być może podzielił los miasta i spłonął w marcu 1945 roku. Nie wiadomo również, co stało się z pozostałymi reprodukowanymi na zdjęciach obrazami. Być może jakimś cudem ocalały i znajdują się w prywatnych zbiorach polskich lub na terenie Niemiec. Może wypłyną niespodziewanie na aukcji, tak



Ulica Karpia nad Kanalem Raduni

jak w ostatnim czasie jedna z wersji obrazu „Taschlech” Stryowskiego?

Nie do końca znany jest też los autora pre-

zentowanych dzieł. Reinhold Bahl, w marcu 1945 roku człowiek po siedemdziesiątce, tak jak jego obrazy, zaginął bez wieści. ■



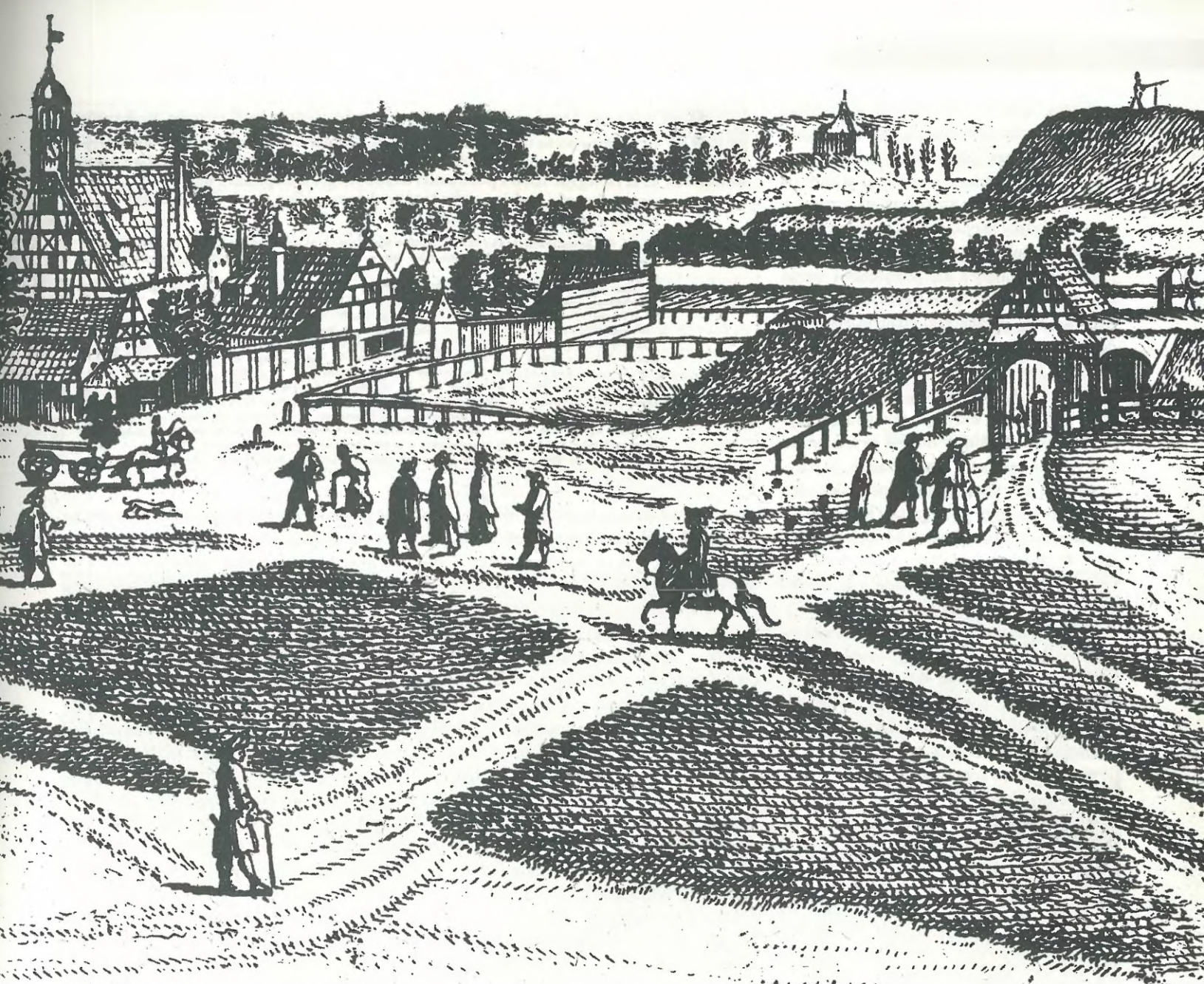


Plaża i moło w Sopocie, początek XX wieku



Tekst: Waldemar Borzestowski

WIELKA DŻUMA 1709



Lazaret, zwany też domem ospy mieścił się za Bramą św. Jakuba. W tej okolicy rozpoczęła się epidemia. Widzimy, jak spokojnie toczy się codzienne życie, gdyż rycina pochodzi z lat osiemdziesiątych XVII wieku, z dzieła Curickego

Podczas wojny północnej (1700 – 1710) cała Polska, w tym również ziemie Prus Królewskich, była terenem niekończących się działań militarnych. Na porządku dziennym były łupiestwa i kontrybucje. Ponieważ uczestniczyły w niej wojska zwolenników dwóch pretendentów do tronu polskiego, zdeponowanego Augusta II Sasa i popieranego przez Szwedów Stanisława Leszczyńskiego, można by ją właściwie nazwać wojną domową. Nawet po klęsce Szwedów pod Poltawą wojska saskie, koronne i rosyjskie wciąż rujnowały ten region, z całą pewnością przyczyniając się do szerzenia epidemii, która zrodziła się w Azji i przez Turcję, Ukrainę wędrowała na północ. W Polsce pojawiła się po raz pierwszy w obozach szwedzkich żołnierzy. Wielka bitwa pod Poltawą, stoczona na ukraińskich polach w lipcu 1709 roku, była potem często przywoływana jako przyczyna zarazy. Powszechnie uważano, że ogromna liczba nie pochowanych żołnierskich trupów spowodowała zatrucie powietrza jadem. Złe powietrze – tłumaczono sobie

– niczym żarłoczna chmura, przemieszczało się z kraju do kraju, niosąc z sobą zniszczenie.

Była to oczywiście diagnoza nieprawdziwa. Tym bardziej, że już w drugiej połowie 1708 roku zaraza pojawiła się na Pomorzu, gdzie jej ofiarą padły Grudziądz, Bydgoszcz, Chełmno, Płock i Toruń. Rada Miasta Gdańska śledziła postępy choroby z ogromnym niepokojem i starała się, jak mogła, przeciwdziałać jej przeniknięciu w pobliże miasta. Dowodzą tego kolejne edykty przeciw tym, którzy trafili do miasta bez przepustek zaświadczających, że są zdrowi. Groziła im, wedle rozporządzenia z 12 października 1708 roku, kara „wysmagania u pęgierza”, a nawet „obwieszenia na szubienicy”. Zwrócono się z prośbą do miast leżących na granicy z Polską, aby wystawiały świadectwa zdrowia tylko swoim obywatelom, nie zaś „obcym” przybylsom. Powołano dwóch komisarzy zdrowia (Provisores Sanitatis), których obowiązkiem było sprawdzanie zaświadczeń i kontrola przyjezdnych. Zostali nimi: dla Głównego Miasta – Konstanty Ferber i dla Starego Miasta – Ludwik Schwebke.

Ich nazwiska wymieniono w drukowanych edyktach. Rada wydała też informator dotyczący dżumy, ułożony przez lekarzy miejskich.

Mimo to, w końcu listopada 1708 roku na przedmieściach pojawiły się pierwsze przypadki choroby. Potem nastąpiła niezwykle ostra zima, srogi mróz złapał zaraz po świętach Bożego Narodzenia i trwał aż do maja. Spowodował wymarznącie oziminy, drzew owocowych oraz ryb w rzekach. Stały wszystkie miejskie młyny. Okowy lodu w Zatoce były tak mocne, że pierwszy statek wpłynął do portu dopiero 11 maja 1709 roku. Spodziewano się, że taki mróz spowoduje zniknięcie zagrożenia. Niestety, już na przełomie marca i kwietnia wśród chorych rozpoznano objawy dżumy. Zaobserwowano też zaskakujące zjawisko: przed nadejściem zarazy miasto opuściły ptaki, odleciały w lipcu, a powróciły dopiero w listopadzie.

Przed

Zagrożenie epidemią w portowym mieście było zawsze bardzo duże. Gdańszczanie do-
brze zdawali sobie sprawę z tego niebezpie- ▶

czeństwa, któremu starano się zaradzić. Stworzono zabezpieczenia mające izolować miasto od zewnętrznego „zarażonego” świata i system opieki zdrowotnej, i socjalnej, służący do walki z wrogiem, gdy już pojawił się w murach miasta. Medycy miejscy już na redzie przeprowadzali kontrolę sanitarną pasażerów i załóg; jeżeli nie zakończyła się pomyślnie i wśród kontrolowanych znaleziono chorych, powodowało to automatycznie zakaz wpłynięcia statku do portu. Statek przybywający z portu „podejrzanego” trzymano na ośmiodniowej kwarantannie. Jeżeli tylko pojawił się sygnał o epidemii w głębi kraju, wszyscy przybywający szyprowie, woźnice, kupcy musieli przedstawiać wiarygodne paszporty stwierdzające, że przybywają ze zdrowych miejscowości. Bez nich nie mieli wstępu do miasta. Karczmarzy w gdańskich posiadłościach wiejskich zobowiązano, by meldowali władzom o przybyciu podejrzanych przyjezdnych, a także, o ile to możliwe, by ich zatrzymywali. Przybywający Wisłą musieli zacumować swoje statki przy Polskim Haku, zaś woźnice przed zewnętrznymi bramami i posterunkami. Stamtąd należało piśmiennie nawiązać kontakt z kupcami, dla których przywieziono towar. Pasażerowie z przygotowanymi paszportami musieli zgłaszać się do wyznaczonych komisarzy zdrowia.

Einzelne Tode im Jahr 1709, der Peststichen in Danzig/verursacht das St- und Jungfrauen der Peststicken.

Januar, 5	33	Juli, 6	156
12	54	13	224
19	61	20	433
16	63	27	300
Februar, 1	58	August, 3	323
9	39	10	197
16	41	17	3218
21	13	24	2474
März, 2	41	31	1707
9	30	Septemb., 7	2305
16	43	14	2070
23	37	21	2261
30	43	28	1963
April, 6	44	Oktober, 3	1739
13	34	12	1314
20	33	19	1502
27	47	26	877
Mai, 4	42	Novemb., 2	428
11	44	9	418
18	42	16	363
25	44	23	299
Juni, 1	46	30	233
8	45	7	217
15	33	14	161
22	83	21	127
29	92	28	79

Summa 2411.

Nachst zu merckten das folgende Wälden in Monat Juli/ auf Tödtung des Pest. Föwons Sanctus, ausgegeben/ weitem nach dem Tödtung, sondern auch Nochs dem Tödtung, welche auch die Pest. alle 14 Tage durch fernere Anmerkungen continuieren werden/ was auch aber folgende nicht geschehen/ ist unter dem Tödtung.

Tygodniowy wykaz zgonów (podat Stöckel)

Aby uniknąć wybuchu epidemii władze miasta nieustannie zabiegały, by poprawiać ogólny stan sanitarny miasta. Wydawano rozporządzenia zakazujące wyrzucania śmieci na ulice i wywożenia w okolicie spichrzów lub do ruin nawozu, gruzu, odpadów i innych nieczystości. Za łamanie zakazu groziła kara aresztu. Grzywna wysokości 10 reichstalarów była przewidziana dla pracodawców, którzy przyzwalał na podobne zachowanie służby. Zaka-

12 Onicwaz Powietrze na roznych miejscach w Koronie pokazało się, y obawiać się trzeba, aby przez Osoby zmatad bez rozności ładem y wodą przyjeżdżające, zarazliwe choroby do Miastatego niebyły wprowadzone: Wic Magistrat zabiegając temu z powinności Urzędu swego, następujące Punkta do powzięcia wiadomości podaje, ażeby każdy podróżny według onych się sprawował, y siebie od wizerakcy wyny ochronił.

1. Zanim się nałazyma proba do wylotkich Urzędów Miast Prokuch na samej Granicy Polskiej leżących, aby zaden Osoby y Towary nieprzepuszczali, tylko takie kłom z niepodejrzanych Miecyk z Państwami wary godnymi przyjeżdżają.
2. Pomerzonych Miast Magistrat y Urzędy niebyły innym cudzym, tylko swoim własnym Miastaczom y Miastaczom, albo bardzo dobrze znanym Państwem wydawać, bo waczej, jeżeli tego uważać nie będą, rychciez Miast Państw zaden wzy mied z nasy tak Miastaczom jako Obywatelom do Miasta wpuszczają być niemogą.
3. Wylotkie Państwa same Pałpory na Okoby polone z tłumaczeniem jaden poczynić być niemogą, ale każdy podróżny powinien mieć taki Pałpory, z którym nie było prawdziwe świadectwo, z z zdrowego Miecyka przyjeżdżającego, ale oż z Stawia jego, Wicly, Nos, Twary Stany wyrażone y opłone la.
4. Wylotki Pałpory przyjeżdżający powinni zewszem drogi ubezpieczyć, y jak przyto na granicy Prokuch przyjeżdżają, to powinni Miecyk opowiadzić się y Pałpory, jeżeli za dobr y prawdziwy uznany, od Urzędu Miecyka Miasta łac podpisać y pisać stwierdzać, co po drodze z każdym Miecyk powrócić powinni będą, gdyby na kłom podróżny pierwsze granicne Miasto powracając minął, y Pałpory łac łacnie uwrzadkował y podpisanie jego z Pięczęcią nie otrzymał, tedy Miasta łac, ab następujące Miasto, nieczystość takiego przepuścić, oż łac od siebie oddalić z tem upewnieniem, że on sam do Miasta wpuszczony niebędzie.
5. Okazywać jednak będą raczy Urzędy granicznych y Miecyk Miast na jaden do nas Złoty płać same Oby.

Uchwała Rady Miasta z lipca 1708 roku

ziano hodowli świń na Głównym Mieście, a na Starym Mieście i na Przedmieściu zezwolono na ich hodowlę tylko w bocznych ulicach. Usuwaniem nieczystości trudnił się kat i jego pacholki oraz w mniejszym zakresie miejska stajnia. Katowska brać odpłatnie oczyszczała szamba z budynków prywatnych i gmachów publicznych oraz wywoziła ich zawartość. Wywożono także z miasta wszelką padlinę.

Od wieków istniały w mieście szpitale będące jednocześnie przytułkami i domami starców. W obrębie murów miasta były to lecznice: św. Ducha, św. Elżbiety, św. Jakuba i św. Barbary oraz poza jego murami: św. Gertrudy, Bożego Ciała i Świętych Aniołów. Od XV wieku funkcjonował też specjalny szpital zakaźny (Pockenhaus – dom ospy), zwany później Lazaretem, za Bramą św. Jakuba, w rejonie obecnej ulicy Dyrekcyjnej. Umieszczano w nim głównie biedaków. Od początku borykał się z poważnymi kłopotami finansowymi. Rada wciąż apelowała o ofiary na jego utrzymanie i przeprowadzała nadzwyczajne zbiórki pieniężne. Na początku XVIII wieku zatrudniano w nim tylko czeladnika chirurgii i cyrulika chorób zakaźnych (Pest-Barbier). Prócz Lazaretu istniał szpital wyłącznie dla chorych na dżumę (Pestilenzhaus) otwierany tylko podczas epidemii. Znajdował się na południowym krańcu Dolnego Miasta, tuż przy wałach. Składał się z osiemnastu pomieszczeń w kilku domach. Zajmowała je w 1709 roku biedota miejska. Rada początkowo zamierzała ich wykwaterować, potem jednak zmieniła zdanie. Do czterech mieszkań przeniesiono ozdrowieńców z pozostałych szpitali, a potem ponad setkę dzieci z Sierocińca.

Miasto posiadało dobrze zorganizowaną i solidnie, jak na ówczesne czasy, wykształconą grupę ludzi zajmujących się leczeniem chorych. Lekarze miejscy dzielili się na dwie grupy: doktorów medycyny (fyzyków) i chirurgów. Pierwsi mogli się poszczycić uniwersyteckim wykształceniem i zajmowali się leczeniem chorób wewnętrznych. Drugi, zorganizowani w cech jak rzemieślnicy, dokonywali zabiegów, leczyli złamania, zwichnięcia, owrzodzenia, ra-

ny, puszczały krew. Czeladnicy zdobywali niezbędną wiedzę podczas terminowania u mistrzów, dorabiając sobie gołeniami i stryżeniami. Chirurgi, podobnie jak rzemieślnicy, musieli składać egzamin mistrzowski. Egzaminatorami byli doktorzy medycyny. W Gdańsku równocześnie mogło prowadzić praktyki zaledwie dwudziestu chirurgów. Honoraria doktorów medycyny i chirurgów należały do stosunkowo wysokich, w związku z czym uboga ludność często korzystała z usług nielegalnie praktykujących medyków, tzw. partaczy, którzy osiedlali się najczęściej na przedmieściach i w podmiejskich osadach. Byli wśród nich również chirurdzy po mistrzowskich egzaminach, świadczący usługi na najwyższym poziomie. Cech często szukał z nimi ugody, zapewniając im praktykę wolnych mistrzów w zamian za określone świadczenia finansowe.

W 1558 roku otwarto w Gimnazjum Akademickim katedrę anatomii i medycyny. Odbywały się też publiczne sekcje zwłok, podczas których doktorzy medycyny prowadzili wykłady. W mieście istniała sieć aptek prowadzonych przez aptekarzy, również zrzeszonych w cechu. Obowiązek sprawdzania kwalifikacji uczniów i pomocników aptekarskich spoczywał na lekarzach miejskich, oni też egzaminowali ubiegających się o zezwolenie na prowadzenie własnej apteki. Odpowiednie rozporządzenie rady, z 30 lipca 1668 roku, normowało wyrób i ceny leków. W połowie XVII wieku w Gdańsku istniało pięć aptek, później otwarto jeszcze dwie. Ich konkurentami były apteki pokątne oraz wędrowni sprzedawcy cudownych medykamentów, szczególnie liczni podczas targów dominikańskich. Dopiero w 1639 roku utworzono urząd lekarza dla opieki nad chorymi podczas zarazy (Pestarzt). Był on na usługach miasta i za swoją pracę otrzymywał 100 guldenów miesięcznie od Rady, co stanowiło kwotę niemałą.

O niej

Dżuma, czarna śmierć (mors nigra), mór lub morowa zaraza (pestis, pestilentia, pestis bubonica), zwana także po prostu „powie-

trzem”, budziła monstrualny strach, była najbardziej śmiertelnością epidemią w dziejach świata. Pojawiła się w Europie po raz pierwszy około VI wieku. Kronikarze przekazali, że wielu chorych umierało wtedy podczas kichania, utrwalił się więc zwyczaj, praktykowany do dziś, składania życzenia „na zdrowie” po kichnięciu. Wielki powrót dżumy do Europy nastąpił w czasie wypraw krzyżowych. Przywleczono wówczas z Azji kilka chorób zakaźnych, zaliczanych przez ówczesnych medyków do chorób gorączkowych. Prócz dżumy była to czerwotka, dur i ospa. Tylko podczas epidemii w latach 1347-1349 w Europie zmarło około 25 milionów ludzi, co stanowiło, jak się oblicza, od jednej czwartej do jednej trzeciej całej populacji. Był to prawdziwy kataklizm, którego nie sposób porównać do czegokolwiek przedtem i potem w dziejach naszego kontynentu.

nie tylko wyziewy, oddech, ale również pot, jak i wydzielają owrzodzone ciała chorych. *Effluvia* przenikały do organów życiowych wnosząc ferment do krwi oraz niepokój do umysłów. Uważano, że choroba jest związana z psuciem się krwi pod wpływem trucizny dżumowej. Zmiany gnilne we krwi doprowadzały do jej ścinania się, wstrzymania krążenia i śmierci.

Choroba zaczynała się dreszczami, potwornym bólem głowy i mięśni, a także wysoką gorączką (stąd objaw nie dającej się zbić temperatury w innych chorobach nazywano gorączką dżumową). Począwszy od drugiego dnia węzły chłonne, zarówno pachowe, karkowe, jak i pachwinowe ulegały bolesnemu obrzmieniu (bubony), stawały się twarde, ropiały, a niekiedy pękały. Powszechnie uważano, że ich pojawienie się oznacza, iż choroba wydzieliła się na zewnątrz. Choroba rozwijała się w różnym tę-

24 tysięcy gdańszczan. Z powodu nieobecności rajców, którzy wyjechali z miasta, nie odbywały się wówczas posiedzenia rady. Epidemie dżumy, które przeszły przez miasto w XVII wieku pochłonęły około 25 tysięcy mieszkańców. Dżuma w 1709 roku spadła na Gdańsk po pięćdziesięciu latach przerwy, podczas których miasto i jego obywatele cieszyć się mogli zdrowiem i pogodą ducha. Mieszkańcy znali chorobę jedynie z budzących grozę opowiadań swoich ojców i dziadków. Trudno się dziwić, że jej pojawienie się w mieście wywołało wielką trwogę.

Taniec śmierci

Pierwszym ogniskiem zarazy w kwietniu 1709 roku była gęsto zaludniona uboga dzielnica Starego Miasta zwana Rammbaum, leżąca w pobliżu ujścia Raduni do Motławy. Choć



Tak wyglądał jeden z placów w Neapolu podczas zarazy w 1656 roku. Fragment obrazu Domenico Gargiullo

Dżuma przez całe wieki wywoływała wielki, trudny do wyobrażenia strach przed nieodwracalną śmiercią poprzedzoną męczarniami. Jej kolejne, szczególne nasilenie dało się zaobserwować w XVII wieku (wielka zaraza w Londynie – 1665 rok) i na początku wieku XVIII, po 1720 roku spotyka się ją raczej rzadko. Choroba przemieszczała się wzdłuż głównych szlaków handlowych, najczęściej drogą morską, a to ze względu na ogromną liczbę gnieźdzących się na statkach szczurów. Najczęściej spotykana była dżuma gruczołowa (pestis bubonica) przenoszona poprzez ukąszenia pcheł podróżujących na karkach gryzoni. Nie wiedząc o tym, ówczesni ludzie uważali, że epidemia rozprzestrzenia się poprzez nośniki choroby zwane *effluvia*, do których zaliczano

pie, jej przebieg był bardzo gwałtowny, gdy zaatakowała płuca. Zgon zazwyczaj następował po dwóch, trzech dniach, lecz zdarzało się, że zarażony umierał po parudziesięciu minutach lub wręcz padał na ulicy jak w przypadkach apopleksji. Istniała opinia, że każdy, kto przeżył pierwszych siedem dni, najgorsze miał za sobą i mógł wyzdrowieć. Do czynników sprzyjających popadnięciu w chorobę zaliczano lęk, gniew, strapienie, za niebezpieczne uważano wilgotne powietrze, a zwłaszcza mgłę.

Zarazy przeciągały przez Gdańsk średnio co kilkanaście lat, wpływało na to położenie miasta, i jego portowy charakter. Po raz pierwszy dżuma nawiedziła Gdańsk w 1564 roku. Przywleczona została przez marynarzy z Anglii. Przyjmuje się, że zmarło wówczas około

wzrastała liczba gorączkujących, nie wywołało to na początku paniki w mieście. Liczba zgonów nie zwiększyła się nagle. Pastor Joachim Weickhmann uznał nawet, że choroba oszczędzi miasto i 3 maja odczytał z ambony dziekczynną modlitwę za oddalenie dżumy od miasta, którą sam napisał. Jak się miało okazać, uczynił to przedwcześnie. Prawdziwy wybuch epidemii nastąpił w czerwcu w okolicy Lazaretu. Dżuma szybko rozprzestrzeniła się na przedmieścia wokół murów miejskich i przez Siedlce, Nowe Ogrody, Szkoty, Orunię dotarła do miejscowości wokół miasta na Wyżynie i Żuławach. Żniwo śmierci było duże. Wieś Schweinitz opodał Pruszcza wymarła całkowicie. Władze postanowiły i podały do wiadomości, że nie opuszczają miasta i czuwać



będą nad porządkiem i przestrzeganiem prawa, zapowiedziano również rozdawanie chleba dla ubogich. W ten sposób chciano zapobiec wybuchowi paniki i masowemu opuszczeniu miasta przez jego mieszkańców.

Akcją walki z zarazą kierowała Rada Zdrowia (Collegium Sanitatis) złożona z czterech komisarzy, do których dołączyło w połowie sierpnia czterech delegatów Trzeciego Ordynku, po jednym z każdego kwartału miasta. Byli oni przedstawicielami mieszczaństwa i rzemieślników. Zatrudnieni do zwalczania dżumy, utworzyli Opiekę Zdrowotną (Cura Sanitatis), której zadaniem było, między innymi, zajęcie się pielęgnacją i wyżywieniem chorych w domach i szpitalach. Radę Zdrowia tworzyli prowizorowie czyli komisarze zdrowia, lekarze i starsi chirurdzy. Na czele stał Krzysztof Fiszler, który jednocześnie był przewodniczącym Urzędu Zdrowia (Provisorrath). Urząd ten przed zarazą zajmował się sprawdzaniem kart zdrowia przybywających do miasta obcych, teraz zaś, rozszerzony o trzech komisarzy zdrowia, posiadał znaczne pełnomocnictwa: prowadził rejestrację chorych i zmarłych, organizował grzebanie zwłok, zatrudniał ludzi do prac związanych z dżumą.

Do opieki nad chorymi zobowiązani zostali przełożeni szpitali, a przede wszystkim Lazaretu i Sierocińca (Spendhaus). Rada szczególnie dbała o dostawy żywności, aby w mieście nie pojawił się głód. Żywność do miasta dostarczali rolnicy z Żuław Gdańskich, przywozili ją do Zblewa trzy razy w tygodniu – w poniedziałki, środy i piątki. Rozdzielaniem chleba zajmowali się początkowo kierownicy Lazaretu, potem przedstawiciele Trzeciego Ordynku, a wreszcie kierownik Urzędu Dobroczynności. Rozdział następował w Strzelnicy. Ponieważ we wszystkich gałęziach handlu panował zaścój, brakowało pracy, a po letnim nieurodzaju brakowało jedzenia, tylko bezpłatne rozdawanie chleba ratowało ludzi biednych przed głodową śmiercią i stanowiło ulgę w ich doli. Liczba ubogich i sierot korzystających ze wsparcia i opieki społecznej w czasie dżumy wynosiła około 3 tysięcy osób. Wśród nich największą grupę stanowiły wdowy i sieroty, ułomni i kalecy. Przez cały czas trwania zarazy nie zamknięto bram miasta, starano się też jak najdłużej utrzymywać kontakty handlowe. Uchroniło to mieszkańców przed tragedią głodu, która dotknęła Królewiec, gdzie, jak się przypuszcza, więcej ludzi zmarło z powodu braku żywności niż od zarazy.

Pod koniec sierpnia leczeniem zajmowało się piętnastu chirurgów. Liczba ta była jednak niewystarczająca. Opieka chirurgów odbywała się na koszt miasta, obejmowała składowanie wizyt w szpitalach i domach chorych z własnego rejonu, leczenie ich i wykonywa-

nie zabiegów. Domy, w których chirurdzy przyjmowali zadżumionych, musiały być oznaczone czarną tablicą z napisem „Armen Chirurgus” (Chirurg ubogich). Pracowano nadzwyczaj intensywnie. Pewien czeladnik barbierza z Siedlec odmówił pracy po przyjęciu trzystu czterdziestu zadżumionych w ciągu tygodnia. Każdy z chirurgów miał kilka osób do pomocy, gońców, którzy zajmowali się roznoszeniem bezpłatnych leków najuboższemu, pisarza do spisywania chorych i osobę, która robiła opatrunki i przykładła plastry. To oni przede wszystkim prowadzili walkę ze straszliwą epidemią. Najlepszym dowodem ich wielkiej ofiarności jest liczba zgonów wśród tej grupy zawodowej – zmarło sześciu mistrzów i dziewiętnastu czeladników oraz jeden łaziebnyk ze Starego Miasta. Zaskakującym w takim kontekście wydaje się fakt, że podczas zarazy nie zmarł ani jeden kierownik Lazaretu, Sierocińca i innych szpitali, żaden z komisarzy zdrowia, a byli to ludzie szczególnie narażeni na zachorowanie. Leki i plastry dla ubogich pobierano z Apteki Miejskiej, wydatki na nie znacznie obciążały budżet miasta, ogółem kosztowały 10 371 florenów.

Mało budujące było zachowanie doktorów medycyny – fizyków. Mimo wyraźnego nakazu władz miejskich, nie włączyli się aktywnie do leczenia ubogich chorych. Zajmowali się zamożnymi pacjentami, inkasując zawrotne honoraria. Choć przepisy, określone „Ustawą lekarską” z 23 kwietnia 1703 roku, mówiły, że lekarzom nie wolno opuszczać miasta podczas zarazy pod groźbą utraty praktyki, 19 sierpnia doniesiono radzie, że niektórzy lekarze wyjechali. Żaden z doktorów nie zmarł podczas zarazy, przetrwali bez uszczerbku miejsca aptekarze.

Nie świecili przykładem pastrowie. Z obawy przed zarażeniem odmawiali odwiedzania chorych w Lazarecie, domach zarazy i szpitalach i proponowali radzie, aby w ich zastępstwie czynili to dwaj studenci teologii, Rosenberg i Siberg, którzy w zamian za to otrzymywali wynagrodzenie 100 florenów miesięcznie. Mimo to, zmarło ośmiu pastorów gdańskich, co stanowiło jedną trzecią duchownych. Ponieważ powszechnie uważano, że najlepszą obroną przed zarażeniem jest ucieczka z zapowietrzonego miasta (zalecali to sami lekarze), wielu bogatych mieszczan wyjechało wraz z rodzinami i służbą do swych wiejskich posiadłości. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, aby ktokolwiek z gdańskich urzędników publicznych opuścił miasto podczas epidemii.

W lipcu zaraza zaatakowała Stare Przedmieście. Liczba zachorowań zwiększała się z tygodnia na tydzień. Nawet wówczas władze nie zastosowały drastycznych ograniczeń w ruchu ludności. Pomniejszano znaczenie epidemii w korespondencji kierowanej do miast, z którymi Gdańsk utrzymywał kontakty handlowe. W ten sposób starano się od-

wlec czas, gdy zostaną one zerwane. W odpowiedzi na list miasta Lubeki, rada informowała, że choroba dotyka tylko najbiedniejszych i nie jest powszechna. 25 czerwca wprowadzono też swoistą cenzurę: każdy, kto ośmieliłby się listownie przekazywać wiadomości mogące szerzyć panikę, mógł liczyć się z surowymi konsekwencjami. Dla winnych przewidziany był areszt, kara pieniężna, a nawet utrata życia. Niebawem zapytania z sąsiednich miast zaczęły napływać jedno po drugim, nadeszły listy z Elbląga i Torunia. 12 lipca kontakty handlowe zerwał Królewiec, a władze Torunia, Elbląga, Malborka i Tczewa zawiadomiły radę, że ich obywatelom zabroniono udziału w jarmarku św. Dominika (5 sierpnia). Niebawem zerwane zostały wszelkie kontakty handlowe zadżumionego miasta ze światem. Jednak jarmark odbył się, zmieniono wszakże repertuar gdańskich dzwonów, kurantów i trębaczy, zamiast wesołych melodii grano „Odwroć od nas, Panie, Twój gniew” i „Niech będzie Bóg nam miłosierny”. Przez cały okres zarazy w Gdańsku odbywały się również targi pomniejsze, nie została zamknięta giełda w Dworze Artusa.

16 lipca, na prośbę siedemdziesięcioletniego doktora Izraela Conradta zwolniono go z obowiązków głównego fizyka miejskiego. Na tym stanowisku zastąpił go doktor Jan Ernest Steihardt z wynagrodzeniem miesięcznym 200 guldenów. Wobec niewystarczającej liczby szpitali na początku lipca rada postanowiła otworzyć kilka nowych, prowizorycznych. Już wówczas wiele rodzin leżało pokotem, zmożonych chorobą. Początkowo adaptowano puste domy. Jeden z pierwszych takich szpitali powstał na Siedlcach w okolicy obecnej ulicy Skarpowej, potem wybór padł na bastiony „Lew” i „Wół” w okolicy Długich Ogrodów. 19 lipca przyjęto tam pierwszych dwudziestu chorych. Na początku sierpnia zaadaptowano na potrzeby szpitalne następny – „Ryś”, tym razem na Starym Mieście. Warunki, jakie panowały w tych prowizorycznych szpitalach były skandaliczne, ludzie zgromadzeni na małej przestrzeni umierali masowo, napływały skargi, że brakuje tam nie tylko leków, ale również jedzenia, picia i słomy na postłanie. Trudno się dziwić, że chorzy bronili się jak mogli przed umieszczeniem w nich, gdyż rzadko kto wychodził stamtąd żywy. Dla żołnierzy miejskiego garnizonu urządzono połowy szpital w pustym bastionie na Grodzisku. Tam również śmiertelność była duża.

Początkowo z ambon podawano do publicznej wiadomości tygodniową listę zgonów. Zaprzestano jednak tego, gdy ich liczba dramatycznie wzrosła. 5 sierpnia rada wydała uchwałę – kodeks postępowania w okresie dżumy. Każdy, kto spostrzegł u siebie objawy choroby, miał się zgłosić do wyznaczonych w danym rejonie chirurgów, którzy udzielali

rad i pomocy. Osobom chorym zabroniono pod karą śmierci opuszczać dom, udawać się do kościoła lub urzędów publicznych. W pierwszej połowie sierpnia na wszystkich ulicach wyznaczono ludzi, którzy mieli to nadzorować. Wizytatorzy chodzili po domach, spisywali chorych i zmarłych oraz składali sprawozdania komisarzom zdrowia. Zarzucono tym razem zwyczaj znaczenia krzyżem domów zarażonych, prawdopodobnie ze względu na ich liczbę. Starano się chodzić środkami ulic, aby uniknąć spotkania z kimś wychodzącym z zarażonych domów i nie wdychać odoru śmierci. Ponieważ mnożyły się kradzieże dobytku po zmarłych, opustoszałe domy zamykano na kłódki i pieczętowano. Drzwi i okna na niższych piętrach czasami zabijano deskami. Ujętych przestępców, a byli to głównie ludzie zatrudnieni przy zwalczaniu dżumy, zamykano w Bramie Kotwiczników lub karano doraźnie.

W sierpniu zaraza grasowała z coraz większą siłą. Apogeum nastąpiło we wrześniu. W pierwszym tygodniu tego miesiąca zanotowano rekordowo wysoką liczbę zgonów – 2 205. Podobnie jak w Londynie przed przeszło pięćdziesięci laty uważano, że to nasilenie można przypisać wpływowi złowieszczygo Syriusza, gwiazdy konstelacji Wielkiego Psa, najjaśniejszej podczas dwóch ostatnich tygodni sierpnia i trzech pierwszych września. Od niej powstał wyraz kanikuła (canicula – pieśń), określający najbardziej upalne dni lata.

Rycina Doneta

Aby wyobrazić sobie, jak wówczas mogło wyglądać miasto, musimy się odwołać do najbardziej znanej ilustracji z tamtych czasów, ryciny znanego gdańskiego rytownika Samuela Donneta, przedstawiającej Wieżę Więzienną i plac przed nią podczas zarazy w 1709 roku (na stronie 56). Tworząc ją sceny można porównać do obrazu ze złego snu. Nie sposób przejść placem nie natknąwszy się na leżące tu i ówdzie trupy. Z ulic usuwa się pospiesznie wszystko, co mogłoby budzić grozę. Wszędzie widać kondukt, całe miasto wygląda jak po pogrzebie. Tragarze towarzyszą żałobnym wozom, a jest ich wiele. Jeden z woźniców trzyma w ręku dzwonek mający ostrzegać przechodniów, że się zbliża. Na specjalnych noszach przenosi się chorych na wozy, które powiozą ich do szpitala lub na cmentarz. Noszy tych używano zwłaszcza w tych miejscach, gdzie wąskie uliczki i ciasne zaułki uniemożliwiały dojechanie wozem. Chorzy niesieni są do szpitali w lektykach (w Londynie w ten sposób transportowano także zmarłych).

Przy jednej z bram obserwujemy szesnastoosobową grupę żałobników z trumną. Takie grupy, dysponujące specjalnymi żałobnymi strojami, organizowano na Głównym i Starym Mieście, a także na Przedmieściu. Można je było wynająć do pogrzebu za ustaloną stawkę trzech florenów od osoby. Podczas

trwania zarazy stawka ta rosła i wynosiła cztery i pół florena. Widać postaci z sztykami owiniętymi kompresem, wśród idących możemy sobie wyobrazić kulejących z powodu wrzodów w pachwinie. Niemal wszyscy bez wyjątku palą fajki. Nieznośna jest ta bliskość między żywymi i umarłymi, środkiem placu wędruje dumnie Śmierć z kosą na ramieniu.

Aby zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazy stosowano środki, które dziś wywołałyby grozę lub uśmiech. Do ust nieboszczykom wkładano świeży chleb, który wedle powszechnej opinii miał pochłaniać toksyny. Po mieście krążyła potem plotka, że część tego chleba trafiła do sprzedaży, powodując kolejne zachorowania. Zapobiegawczo nacierano otwory nosowe substancjami balsamicznymi. By oczyścić powietrze, zalecano palenie jałowca lub suchego końskiego nawozu. Domy wykadzano siarką, smołą, mirrą, benzoem, żywicą, kadzidłami lub saletrą. W aptekach sprzedawano też gotowe świece do kadzenia. Przy pomocy prochu strzelniczego wywoływano silny podmuch mający oczyścić dom z zarazy. Bywało, że przy okazji wylatywały okna lub część dachu. Wychodząc na ulicę zakrywano twarz chusteczką nasączoną octem, trzymano też przed nosem buteleczki perfum albo wonnych olejków, żuto czosnek i rutę, myto głowę octem. Podczas kontaktu z chorym trzymano w ustach anielski korzeń, czerwoną mirrę lub skórkę pomarańczy. Pod język wsuwano tajemnicze tabletki, których kilka rodzajów pojawiło się na rynku. Stosowano również tabakę. Powszechnie zalecano odżywianie dostatnie, ale lekkostrawne: cielęcine, drób, ryby, zwłaszcza gotowane, i owoce. Ostrzegano przed mlekiem, lecz nie przed jego przetworami. Piekarzom zabroniono sprzedaży ciepłego chleba, gdyż podobno szczególnie mocno wchłaniał złe powietrze. Przestrzegano przed piciem wódki, a za dobrego napój uważano wodę jęczmienną z sokiem cytryny lub grzane piwo.

Chorych, o ile to było możliwe, wywożono do szpitala dla zadżumionych. Tam poddawano ich niezwykle bolesnej kuracji. Na twarde wrzody lekarze aplikowali pacjentom plastry, które potwornie paliły chorego. Celem tej kuracji było rozmiękczenie i pęknięcie wrzodów. Uważano, że ujście ropy jest konieczne, aby chory mógł powrócić do zdrowia. Kiedy nie pomagały plastry, nacinano wrzody lancetem lub je wypalano. Stawiano też bańki w miejscach, gdzie były powiększone węzły chłonne. Wcześniej radzono stosować upusty krwi w celu zmniejszenia ciepłoty ciała i usunięcia jadu, ale w 1709 roku robiono tak sporadycznie. Podobny efekt osiągnęto stosując kurację napotną (obłożenie ciała butelkami z gorącą wodą), wymiotną i przeczyszczającą (używano leków roślinnych: aloes, mirra, szafrań, rabarbar lub swojskiej lewatywy). Wśród leków rozróżniano proste i złożone. Do

pierwszych zaliczano sól wymiotną i wodę Rulanda, do drugich słynną driakiew, figurującą w gdańskich spisach leków jako „Theriac Andromachi”. W jej skład wchodziło około sześćdziesięciu składników, na ogół drogich i wyszukanych. Uważano ją za najskuteczniejsze lekarstwo na choroby zakaźne, choć urzędowe pismo dla lekarzy zalecało również uderzanie chorego po głowie świeżo zabity kura lub gołębiem.

Podczas zarazy umierało wiele niemowląt, niejednokrotnie znajdowano je zagłodzone przy zwłokach matek. Zarazę przeżyło w Gdańsku około 100 sierot w wieku niemowlęcym. Były one karmione przez mamki, które otrzymywały za to wynagrodzenie. Trzydziestoro osieroconych dzieci przyjęły na wychowanie rodziny gdańskie. Do walki z chorobą przyłączały się cechy, finansowały leczenie swych członków i organizowały lazarety. W połowie sierpnia przystąpiono do budowy nowego szpitala poza murami miejskimi, na lewo od Bramy Oliwskiej, niedaleko od domku zwanego Jeruzalem. Pod koniec września stanął tam jeden barak (z dwóch planowanych), mający 100 stóp długości, 40 szerokości i 10 stóp wysokości. Mieścił osiemdziesiąt dwuosobowych łóżek ustawionych w cztery rzędy. Opiekę nad nim objął przedstawiciel Trzeciego Ordynku, Godfryd Gryschau.

Budowa była spóźniona, gdyż coraz więcej osób powracało do zdrowia. W październiku zaraza zaczęła słabnąć, wciąż wielu ludzi zapadało na nią, ale choroba częściej kończyła się wyzdrowieniem. Początkowo zamierzano przenieść tam chorych z bastionów, ale i tu sytuacja zaczynała się poprawiać. Ozdrowieńców umieszczano w pustych domach na Zaroślaku. Pod koniec października trzy szpitale w bastionach zostały opróżnione i wybielone. Na początku listopada ostatni chorzy opuścili barak przy Oliwskiej Bramie i zostali przeniesieni do szpitala na Siedlcach. Był to wtedy ostatni szpital dla chorych na dżumę funkcjonujący w mieście.

Pogrzeby i cmentarze

Początkowo, tak jak nakazywała tradycja, grzebano ludzi w trumnach. Jednak już 15 lipca doniesiono radzie, że w mieście brakuje desek na trumny, a ta zgodziła się na chowanie kilku ciał w jednej trumnie. Po 19 lipca zezwolono, aby trumny służyły wyłącznie do transportu zwłok na cmentarz, gdzie grzebano je bezpośrednio w ziemi. Początkowo wywożono zmarłych zwykłym wozem i dopiero 5 sierpnia w mieście pojawiły się trzy kryte wozy przystosowane do wywożenia zwłok. W każdym z nich można było zmieścić trzy trumny duże i dwie małe. W połowie sierpnia wywożono zwłoki na cmentarz bez trumien. Zmarłych chowano pospiesznie i bez zwykłych ceremonii. Starano się to robić wieczorem, aby widok był mniej bolesny. Grabarze

pochodzili z miejskiej biedoty i osób, które przeżyły chorobę, a więc – wedle powszechnej opinii – uodporniły się. Chodzili w ubraniu oznaczonym numerem porządkowym, białym na czarnym tle. Płacił im magistrat. Kiedy pod koniec sierpnia nie otrzymali zapłaty zagrozili strajkiem. Przerażona rada pośpiesznie nakazała komisarzom uregulować wypłatę i pilnować, aby podobna sytuacja nie powtórzyła się w przyszłości.

Sześciu grabarzy w mieście i sześciu poza miastem nie nadążało z wywożeniem i grzebaniem zwłok. Choć należało to robić w ciągu trzech dni, zmarłych znajdowano niekiedy na ulicach już w stanie rozkładu. Jednocześnie istniał przepis, że nie wolno grzebać zwłok przed upływem doby od zgonu. Wpływ na tę decyzję miał przypadek przebywającego w szpitalu woźnego Gdańskiego Gimnazjum, którego przedwcześnie rzucono na wóz cmentarny, sądząc, że zmarł. Swoje ocalenie zawdzięczał tragarzowi, który dostrzegł w nim oznaki życia. Woźny ocalał i po kilku dniach wrócił do zdrowia.

Władze niechętnie godziły się na grzebanie ofiar zarazy w obrębie miejskich murów. Z tego przywileju mogli korzystać jedynie posiadający krypty w kościołach lub kwatery na przykościelnych cmentarzach. Po zarazie w 1602 roku w kościele św. Trójcy panował tak przejmujący smród rozkładających się ciał, że aby temu zaradzić zdecydowano się na istniejącą kamienną posadzkę położyć nowe, grube kamienne płyty. Zazwyczaj cmentarze znajdowały się nie tylko w pobliżu kościołów, ale także w sąsiedztwie szpitali. Kościoły i klasztory zabiegały o prawo grzebania zmarłych na swoich cmentarzach. Nie zezwalano na ich rozszerzanie, ale pozwalano dowolnie głęboko kopać groby. Miało to swoje przykre konsekwencje. Od 13 lipca do 21 września 1709 roku na cmentarzu przy kościele św. Anny w krótkim czasie pochowano 299 osób. Podobnie było przy kościele św. Trójcy. Ze względu na panujący w okolicy cmentarzy zaduch, 4 września poproszono kierowników obu kościołów, aby zaprzestano tam pochówków, a istniejące groby pokryto dodatkową warstwą ziemi. Także cmentarz przy kościele św. Gertrudy, leżący między murami miejskimi u stóp Bi-

skupiej Górki, największy i pełen grobowców bogatych mieszczan, został w krótkim czasie przepełniony. I tu odrór gnijących ciał sprawiał, że żołnierze patrolujący wały obawiali się o swoje zdrowie.

W lipcu, gdy zapełnił się cmentarz dla ubogich przy kościele Bożego Ciała, rada wyznaczyła nowe miejsca pochówku pod miastem. Jako pierwszy powstał cmentarz na Klapperwiese, na Rudnikach, podmokłych terenach w okolicach Bramy Żuławskiej, po jej prawej stronie. Następne dwa otworzono na wzgórzu przed Siedlcami, przy tzw. Schlapkekrug (aby zabezpieczyć się przed spojrze-



Pastor Joachim Weickmann ułożył modlitwę dziękczynną

mi ciekawskich otoczono go murem) oraz poza Bramą Oliwską, w okolicach dzisiejszego cmentarza garnizonowego. Zwłoki starano się grzebać głęboko, choć nie zawsze było to możliwe ze względu na obecność wód gruntowych (na Rudnikach). Na cmentarz w pobliżu Bramy Oliwskiej zmarłych wywożono nie poprzez najbliższą bramę św. Jakuba, lecz przez specjalnie wybity otwór w murach. Nad fosą przerzucono pomost. Wszystko po to, aby nie wzbudzać przykrych sensacji w mieście.

Ludzi chowano w masowych grobach. Trupy wrzucane do dołu były natychmiast pokrywane przez grabarzy półmetrową warstwą ziemi, na której kładziono zwiezionych następnego dnia. Dół zasypywano na dobre dopiero po

tygodniu, gdy był już pełen. Dostęp do cmentarzy był utrudniony z uwagi na niebezpieczeństwo szerzenia się zarazy. Wiele z nich zostało potem poniechanych i dziś trudno znaleźć po nich choćby ślad.

Epilog

W końcu grudnia 1709 roku epidemia zaczęła zupełnie dogasać. Przez pół roku Gdańsk utracił połowę swych mieszkańców. Był straszliwie wyludniony. Dlatego rada zabiegała o nowych osiedleńców. W Hamburgu zawiadomienie takie zostało wydrukowane w miejscowych gazetach. Na apel odpowiedziało wiele osób z różnych miast Europy, najwięcej z północnych Niemiec. Jeszcze przez cały 1710 rok w mieście było więcej chorych niż zazwyczaj. Zaraza z 1709 roku, zwana „der Grosse Pest” – Wielką Dżumą, była najtragiczniejszą w całej historii miasta. W samym Gdańsku zmarły 24 533 osoby, z czego około 22 100 było ofiarami epidemii. Stanowiło to blisko połowę ogólnej liczby mieszkańców (około 50 tysięcy). Na przedmieściach w tym samym czasie zmarło na dżumę ponad 8 tysięcy ludzi, co przy założeniu, że zamieszkiwało je około 20 tysięcy mieszkańców stanowiło 40 procent populacji.

Spustoszenia po zarazie okazały się nieodwracalne i trwałe. Gdańsk nigdy nie odzyskał swojej świetności, dwadzieścia lat po zarazie liczył mniej mieszkańców niż przed zarazą – 48 tysięcy. Powoli otwierano wymarłe i dotąd zamknięte domy. Mieszkania, w których ktoś umarł, wietrzono, wykadzano i bielono wapnem. Prano pościele, a kołdry zakopywano na czterdzieści osiem godzin w ziemi.

12 kwietnia 1710 roku wydano urzędowe oświadczenie o wygaśnięciu zarazy w Gdańsku. Podpisali je: Izrael Conrad, Gottfried Stüwe i Jan Steinhard jako miejscy fizycy oraz Krystian Theisner i Eberhard Elmhoff, starsi cechu chirurgów. 14 kwietnia zaopatrzył je w pieczęć Gabriel von Boemeln, główny burmistrz miasta. 27 kwietnia, a była to pierwsza niedziela po Wielkanocy, ogłoszono dniem dziękczynienia za ocalenie. Z ambon odczytano modlitwę ułożoną specjalnie na tę okoliczność przez wspomnianego już pastora Joachima Weickmanna. Miasto zaczynało odbudowywać swoje kontakty ze światem. ■

Te same sceny, co na rycinie Donnetta, ale pokazane poza murami miasta



POWRÓT

Tekst i Foto: Agnieszka Rapicka

DO CMENTARZY, KTÓRYCH NIE MA





Zaniedbany cmentarz w okolicy stadionu „Lechii”

Dzięki listom i uwagom czytelników zlikwidowane gdańskie cmentarze nie zagięły całkowicie. Pozostają w pamięci, we wspomnieniach a czasem odnajdujemy ich szczątki w miejscach, w których się ich nie spodziewamy. Na przykład jezdnia ulicy Klonowicza we Wrzeszczu, na północnym odcinku od skrzyżowania z ulicą Kościuszki jest pokryta kostką brukową. Pomędzy kamieniami można znaleźć co najmniej kilkanaście fragmentów połamanych płyt nagrobnych z czarnego kamienia. Można przeczytać fragmenty inskrypcji, daty, nazwiska. Po kamiennych tablicach, postawionych kiedyś na grobach zmarłych ludzi, aby uczcić ich pamięć, dziś jeżdżą samochody. Może to lepsze niż zupełny niebyt...



Poniszczone i poprzewracane płyty nagrobne na cmentarzu w okolicy stadionu „Lechii”



Kiedy od strony ulicy Krętej wchodzi się w leśną dróżkę prowadzącą grzbietem wzniesienia pomiędzy stadionem Lechii a budynkami Uniwersytetu Gdańskiego, nie nie zapowiada wstrząsającego widoku, jaki ukaże się po kilkuset metrach. Z lewej strony drogi ludzie pracują i odpoczywają w ogródkach działkowych, a z prawej w chaszczach odnajdujemy zdewastowany cmentarz. Na obszarze około jednego hektara widać co najmniej kilkadziesiąt rozrzuconych płyt nagrobnych i rozgrzebane groby. Napisy świadczą o tym, że cmentarz funkcjonował od pierwszej połowy lat trzydziestych XX wieku i chowano tu także w czasie II wojny. Na bardzo wielu nagrobkach widnieją czytelne napisy. Daty i nazwiska można bez trudu odczytać.



Usytuowanie tego cmentarza budzi zdziwienie. Czytelnik napisał w dalszej części swojego listu:

„Zdumiewające jest dla mnie to, że powstał cmentarz w miejscu bardzo niedostępnym, do którego dostęp chociażby dla rodzin pochowanych był bardzo utrudniony. Wzgórze jest bardzo niedostępne, bardzo duża stromizna zarówno od strony ulicy Sobieskiego, jak i od stadionu Lechii, wręcz czyni je niedostępnym dla ludzi starszych. W okresie późnej jesieni, zimy i wczesnej wiosny jest to niezmiernie uciążliwe dla sprawnej młodej osoby. Jedyny w miarę możliwy dojazd prowadzi wąską, leśną drogą za kortami i stadionem Lechii”.

Wspomniany cmentarz nie figuruje w żadnych spisach. Nie ma go też na listach cmentarzy zamykanych po wojnie. Został jednak zaznaczony na dwóch planach Gdańska z 1939 i 1941 roku. Powód usytuowania go w takim miejscu jest niejasny, nie znamy jego nazwy, nie można stwierdzić, jakiego wyznania byli ludzie, których tu chowano. Być może bezpośrednie sąsiedztwo szpitala (dzisiejszej Akademii Medycznej) mogłoby tłumaczyć powstanie cmentarza w takim miejscu. Może w szczególnych wypadkach, ze względów sanitarnych, zwłok nie można było złożyć na cmentarzach ogólnodostępnych.

Trudno to dziś ustalić, ale nekropolia ta nadal istnieje, jest zaniedbana i opuszczona. Na szczęście nie wszyscy przechodzą tędy obojętnie. Na dwóch połamanych płytach ktoś zapalił znicze, dwa małe światełka, dwa dowody, że nie zubożeliśmy zupełnie. ■



Pomiędzy kamieniami, którymi wybrukowano ulicę Klonowicza odnaleźć można fragmenty połamanych płyt nagrobnych



30 dni LISTY

Cmentarz przy Cedrowej

Chciałbym się dowiedzieć na temat cmentarza mieszczącego się w okolicy trasy WZ. Cmen-

tarz ten znajduje się przy skrzyżowaniu ulic Warszawskiej i Cedrowej. Z daleka wygląda jak zwykły zaniedbany ogród. Kiedy podejmiemy bliżej, zauważamy nagrobki i grobowce. Niestety, w osiemdziesięciu procentach cmentarz jest zniszczony i tylko kilka płyt zachowało się w całości.

Mam pytanie: czy jest możliwe zachowanie tego cmentarza? Jest to bardzo przykre, że cmentarz pochodzący z XIX i początku XX wieku jest tak zdewastowany i zaniedbany. Wykonałem kilka zdjęć, które załączam. Liczę na państwa zainteresowanie tą sprawą.

*Z poważaniem
Paweł Lewicki*

Od redakcji

Cmentarz, o którym pisze pan Lewicki przypomniany został w tekście Agnieszki Rapińskiej w marcu 2000 roku („Cmentarze, których nie ma”). Był to

Pozostałości cmentarza przy ulicy Cedrowej

cmentarz ewangelicki, a jego początki sięgają wczesnych lat XIX wieku. Nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, czy jest możliwe jego zachowanie i uporządkowanie.



30 dni LISTY

Pisać o planie

Dowiedziałem się, że projekt nowego planu zagospodarowania przestrzennego dla Głównego Miasta został zasypyany setkami protestów i zarzutów. Tym samym przyszły wygląd i funkcja tego rejonu miasta być może się nie zmieni i nadal będziemy narzekać na puste place po kamienicach, na brak knajp, restauracji i pustki na ulicach po godzinie 21. Jednak najbardziej mnie dziwi, że o tak ważnym fakcie nic nie można było przeczytać w prasie, a zwłaszcza w „30 Dniach”. Czy przyszłość śródmieścia Gdańska to mniej in-

teresujący temat niż ciągle zagłębienie do jego przeszłości? Czy w związku z tym można liczyć choć na jakąś wzmiankę w „30 Dniach” o nowych planach zagospodarowania przestrzennego dla śródmieścia Gdańska?

Jeszcze jedno pytanie na koniec: czy redakcja drukuje również e-maile?

Marek Żmuda

Od redakcji:

Odpowiedź na ostatnie pytanie jest prosta: drukuje.

A jeśli chodzi o główny problem poruszony w liście, to wypada przypomnieć w swoim imieniu – czyli „30 Dni” – że wielokrotnie i na różne sposoby nasze publikacje dotyczyły tego tematu. Wprost o samym planie zagospodarowania pisaliśmy w październiku 1999 roku. Ale przecież na naszych łamach prowadzona była i obszerna dyskusja o tym, jak zbudować dobry Gdańsk, i przedstawiane były propozycje zagospodarowania terenów postoczniowych, że nie wspomniemy już o wielu tekstach, które poświęcone były konkretnym inwestycjom. Też z gdańskiego planu.

A do przeszłości będziemy jednak zaglądać.

„Gustloff”

Droga Redakcjo,

Znalazłem w sieci kolorowe zdjęcie statku „Wilhelm Gustloff”, pod którym to zdjęciem znajduje się informacja: *Rare color photo of the Gustloff at anchor in Gotenhafen*. Zdjęcie znajduje się pod adresem: www.feldgrau.com/wilhelmgustloff.html, ale przesyłam je w załączniku.



Bardzo proszę o odpowiedź, czy to zdjęcie jest autentyczne.

Bartosz Jablonka

Od redakcji:

Porównanie z innym zdjęciem przedstawiającym „Gustloffa” (czarno-białe), które mieliśmy w archiwum, zdaje się wskazywać, że na obu widzimy ten sam statek. Czy jednak „Gustloff” jest zakotwiczony w Gdyni (jak to wynika z informacji), trudno jednoznacznie stwierdzić, jeśli ma się do dyspozycji fotografię w małym formacie.

A może Czytelnicy coś wypatrzą?

Tunele w Sopocie

List otwarty do Pana Prezydenta Sopotu

Tunel dla pojazdów TAK, ale NIE w miejscu proponowanym i zaplanowanym przez Wydział Architektury i Strategii Rozwoju przy Urzędzie Miasta Sopot.

Tunel dla pieszych pod Aleją Niepodległości u wylotu ulicy Marynarzy definitywnie NIE.

Wprawdzie nie wyobrażam sobie, aby mój głos w tej kwestii był głosem odosobnionym, ale – jeśli tak jest – świadczy jedynie o nieświadomości i obojętności sopocian. Powodów może być wiele, ale nie one są przedmiotem niniejszego listu.

W mojej opinii, jeśli rzeczywiście tunel dla pojazdów ma powstać w Sopocie, to z pewnością NIE wzdłuż ulicy Grunwaldzkiej i Powstańców Warszawy, pod obecnym przejściem dla pieszych u wylotu „deptaka”.

Urząd Miasta Sopot, we własnej gazecie „Kurier Sopocki” („Serce Stulatka”, 20.12.2000), uzasadnia potrzebę budowy tunelu dla samochodów przy moło, cytując: „aby turyści mogli się płynnie poruszać” (w drodze na moło – przyp. S. R. L.). Nasuwa się pytanie: kiedy? W okresie tych... zaledwie dwóch miesięcy w roku?

Jestem stanowczo przeciwny takiej propozycji, i oto moje argumenty:

1. Konstrukcja tunelu dla pojazdów ma uzasadnienie jedynie w sytuacji, kiedy niezbędne jest zapewnienie bezkolizyjnego połączenia (w tym wypadku pomiędzy dwiema częściami miasta), i kiedy żadne inne rozwiązanie nie jest w stanie sprostać takiemu zadaniu. W dodatku, każda decyzja budowy tunelu, który pozwoli na zwiększenie przepustowości pojazdów bez jednoczesnego zapewnienia szybkiego rozładowania ruchu u jego wylotu, jest z założenia decyzją skandalicznie błędną i skazaną na fiasko.

2. Powyższy argument nie powinien wymagać szerokiego komentarza. Przecież nie da się zwiększyć przepustowości ani ulicy Powstańców Warszawy, ani

ulicy Grunwaldzkiej. A więc, zamiast oczekiwać na zmianę świateł przy przejściu dla pieszych na powierzchni ziemi, te same dziesiątki samochodów będą „siedziały” w tunelu w oczekiwaniu na rozładowanie ruchu u jego wylotu.

3. Będą w nim siedziały i smrodziły, a ich kierowcy trąbili ze złości, zdenerwowania lub dla zabawy (no, bo przecież „tak się robi we Włoszech”), podkreślali obroty silników, a podczas upalnego lata, skoncentrowanymi w tunelu spalinami zatruwali płuca swoje, pasażerów oraz wszystkich przechodniów znajdujących się w okolicy jego wlotu i wylotu. Do tego niech się przydarzy jakaś drobna awaria pojazdu albo, nawet lepiej, kolizja w tunelu. Chyba, że sopocki tunel nie przewiduje możliwości kolizji...

4. Betonowa konstrukcja ścian tunelu nieuchronnie stanie się wymarzoną tlenią dla graffiti.

Nie tak dawno temu podobne argumenty zadecydowały, że propozycja budowy tunelu pod jednym z najbardziej newralgicznych punktów na wewnętrznej obwodnicy Londynu została w ostatniej chwili odrzucona przez ówczesnego ministra transportu, Sir George Young. Z dumą przyznam, że moje argumenty, przesłane do House of Commons w imieniu rzeszy okolicznych mieszkańców, przyczyniły się w ostatniej chwili do odwrócenia o 180 stopni decyzji o budowie tunelu i to w momencie, kiedy ciężki sprzęt konstrukcyjny dosłownie czyhał już za rogatekami. Fakt porzucenia tak kosztownej inwestycji, pomimo konsekwencji, jakie taka decyzja pociągała za sobą, pozostał przykładem zwycięstwa logiki i zdrowego rozsądku nad niebywałą presją ugrupowań politycznych, firm deweloperskich, inwestycyjnych i innych zainteresowanych.

W świetle powyższego uważam, że warto się na chwilę zastanowić nad sopockimi propozycjami.

Na przykład, jak to się dzieje, że przez ponad pięćdziesiąt powojennych lat, i to za czasów świetności i popularności Sopo-

tu, jakich ten kurort jeszcze przez bardzo długie lata nie zobaczy, tłumy ludzi (i to w tym najbardziej dosłownym znaczeniu) jakoś potrafiły „płynnie” docierać do mola przez przejście dla pieszych w poprzek jezdnii? Za czasów, kiedy Grand Hotel w pełni zasługiwał na miano „grand”, kiedy Festiwal Piosenki zasługiwał na miano „festiwalu”, kiedy plaże roily się od prawdziwych plażowiczów. A przecież tego wszystkiego, tej unikalnej atmosfery i porządku, jaki wówczas panował, nie przywróci nawet najwspanialszy tunel. Wprost przeciwnie.

Nasuwa się pytanie, dlaczego akurat w tym miejscu miałyby się nagle odseparowywać ludzi od samochodów? Komu jest w Sopocie potrzebna taka nudna „sterylność” – ludzie na jednym poziomie, pojazdy na drugim? (...) Przecież nie zrobimy z Sopotu Las Vegas lub Monte Carlo, no bo i po co? Te miejscowości właśnie są tym czym są, ponieważ na swój sposób są unikalne.

Do Sopotu przybywają ludzie średniozamożni spragnieni wypoczynku w dawniej urokliwym i pięknie zadrzewionym kurorcie. I nic w tym złego. Przyjeżdżają do Sopotu właśnie dla takiego jakim on jest, dla jego niezwykłej atmosfery, klimatu, pięknego położenia i swojskości. Przyjeżdżają, bo Sopot jest na swój sposób właśnie unikalny. Przecież świat potrzebuje miejsc odpoczynku i zabawy w równym stopniu dla ludzi mniej zamożnych, jak i dla bogatych. Dla tych, którzy potrafią cieszyć się byle czym i z byle czego, i dla tych, których wymaganiom nigdy nie uda się sprostać. Dla tych, którzy z przydrożnego baru mlecznego wyjdą w pełni nasycony i zadowoleni, i dla tych, którym homary czy ostrygi podane nawet w najbardziej eleganckiej restauracji zawsze lepiej smakowały gdzieś indziej...

Prawdziwych milionerów (tak krajowych jak zagranicznych) nie ściągniemy dzięki tunelowi, i nie oni będą w Sopocie zostawiali swoje pieniądze. Tak jak dotychczas, będą tu przyjeżdżali zwykli ludzie z kraju i z zagranicy, których „coś” z Sopo-

tem łączy... I tak powinno pozostać, bo to powinno wystarczyć. Wszystko inne jest bezmyślnym i bezkrytycznym kopiowaniem przysłowiowego Zachodu. I po co to komu? Po co zmieniać to co oryginalne, prawdziwie nasze i to, czym właśnie możemy odróżnić się od innych? Przecież jest już w Sopocie MacDonald's i Pizza Hut, a więc minimalne wymogi międzynarodowej „przynależności” zostały na szczęście zaspokojone.

A jeśli już zahaczyłem o Pizza Hut... Wydział Architektury właśnie zezwolił, aby jej prominentna lokalizacja na rogu ulicy Boh. Monte Cassino i Chmielewskiego jeszcze bardziej poprawiła swoją „zauważalność” na deptaku. I tak, od pierwszego lutego tego roku, ten architektonicznie piękny budynek został obłożony nowozainstalowanym, absurdalnie olbrzymim i ostentacyjnie jaskrawym, czerwono-białym szyldem reklamowym. Prawie zbędną wydaje się teraz latarnia morska na wieży Zakładu Balneologicznego...

A jeśli można było do tego dopuścić dzisiaj, a więc w chwili, kiedy najważniejsze założenia strategii rozwoju kurortu Sopot podobno są już odpowiednio zdefiniowane, stanowi to dla mnie wystarczający dowód na brak kompetencji Konserwatora Miasta. Jednocześnie rzutuje to na stopień kompetentności i obiektywizmu architektów, urbanistów i wszystkich innych zainteresowanych osób, które jak dotąd oficjalnie wypowiedziały się „za” planowaną budowę tunelu. Jedną z takich wypowiedzi wisi do wglądu na pierwszym piętrze w Urzędzie Miasta Sopot. (...)

Panie Prezydencie, czy tak jak większość sopocian, Pan również wyszedł na spacer w ten wyjątkowo słoneczny, cudownie zimowy weekend, trzeciego i czwartego lutego, kiedy Sopot pokryty był trzydziścentymetrową, dziewiczą warstwą puszystego śniegu? Jeśli tak, to czy zwrócił Pan uwagę na rzesze spacerowiczów zmierzających w kierunku mola, by stamtąd móc się rozproszyć na lewo i prawo wzdłuż plaży? Czy

komuś, starszemu lub młodszemu wiekiem, z dziećmi w wózkach lub na sankach, stanęły na przeszkodzie światła przy przejściu dla pieszych obok mola? Czy dał się zauważyć na ich twarzach jakikolwiek wyraz obawy lub strachu, który jest tak wyraźnie obecny, kiedy te same osoby starają się przekroczyć aleję Niepodległości przy ulicy Podjazd, nie wiedząc, czy uda im się dotrzeć w całości do przeciwnego krawężnika? Czy tam, przy molo, jest dokąd się spieszyć? Czy tam, przy molo, jezdnia jest tak szeroka, że starszym ludziom jest trudno przez nią przejść?

Na tunel w tym miejscu zawsze jest czas. Do jego konstrukcji nie na powierzchni ziemi nie trzeba będzie zburzyć lub zniszczyć (z wyjątkiem kilku drzew, ale o tym przy innej okazji). Tak więc, planowane w tym rejonie budynki, m.in. Domu Zdrojowego, mogą sobie spokojnie powstawać i, miejmy nadzieję, ściągać turystów nie tylko w sezonie letnim, ale i podczas pozostałych miesięcy.

Natomiast... jeśli już tunel dla pojazdów „musi” powstać w Sopocie, to jedyną w pełni uzasadnioną dla niego lokalizacją jest odcinek alei Niepodległości od ulicy Andersa w stronę Gdyni, kończący się pomiędzy ulicami 23 Marca i Goyki. Argumenty „za” wydają się nie do zbicia. Tunel na tym odcinku byłby o wiele trudniejszy do zrealizowania, ale sama propozycja ma olbrzymi sens, ponieważ:

1. Na wysokości ulicy Podjazd: tunel zlikwidowałby najbardziej – pod każdym względem – niebezpieczne skrzyżowanie ze wszystkich w mieście;

2. Na odcinku od wysokości ulicy Boh. Monte Cassino do ulicy 23 Marca: tunel zlikwidowałby niebezpieczeństwo, jakie powodują pojazdy wielkości wagonów kolejowych, pędzące dosłownie centymetry obok wąziusieńkich chodników.

3. Na wysokości ulicy Boh. Monte Cassino: tunel zlikwidowałby ten najbardziej dla pieszych uciążliwy tunel pod aleją Niepodległości. Tunel, który jest uczęszczany przez największą

ilość przechodniów w starszym wieku i kobiet z wózkami, a który, ze względu na swoją konstrukcję, jest szalenie głęboki (o wiele głębszy od tego pod torami kolejowymi) i o wyjątkowo stromym profilu schodów.

Zlikwidowanie właśnie tego tunelu dla pieszych zmieniłoby radykalnie charakter tej części miasta. Ponownie, jak za dawnych czasów, ruch pieszy odbywałby się górą. Szybko też zmieniłoby się użytkowanie przyległych sklepów, powstałyby kafejki, atmosfera. Ponownie, na tym odcinku alei Niepodległości, mogłyby powrócić drzewa i zieleń. „Monciak” jako deptak ciągnąłby się nieprzerwanie wzdłuż ulicy 1 Maja aż do Opery Leśnej. Czy taka wizja tej, od ponad czterdziestu lat „zapomnianej”, części Sopotu nie jest o wiele ciekawsza i użyteczniejsza od proponowanego tunelu przy molo?

A jeśli już mowa o tunelu dla pieszych. W planach Urzędu Miasta jest także budowa tunelu dla pieszych pod aleją Niepodległości na wysokości ulicy Marynarzy. Brak alternatywnego przejścia przez jezdnię w odległości 100 metrów z każdej strony takiego tunelu uniemożliwi osobom niepełnosprawnym swobodne i bezdiskryminacyjne przemieszczanie się z jednej części miasta do drugiej. I nie chodzi tutaj o poruszanie się w celach rekreacyjnych. Problem jest o wiele poważniejszy.

Tunel dla pieszych w proponowanym przez Urząd Miasta miejscu utrudni, jeśli nie ograniczy, tej właśnie grupie mieszkańców Górnego Sopotu dostęp do niezbędnych miejsc o charakterze publicznym, jakie znajdują się „poniżej” tej osi miasta. A są to: Urząd Miasta, Poczta Główna, MOPS, kościoły, kina i teatr, cały wachlarz sklepów, jakich w ogóle nie ma w górnej części miasta, nie mówiąc oczywiście o dostępie do plaży i morza.

Przy dzisiejszych możliwościach, które technologia i wolny rynek dają osobom niepełnosprawnym (tak wśród mieszkańców Sopotu jak i turystów), przemieszczanie się poziomo po powierzchni ziemi nie stanowi już problemu. Gorzej ze scho-

dami. Co z tego, że wprowadzone do naszego prawa budowlanego udogodnienia dla niepełnosprawnych gwarantują rampy, podjazdy i windy, jeśli taka osoba nie będzie miała możliwości, aby do nich dojść.

Zaszczytny tytuł „KURORT” to nie jest jedynie plakietka na ścianie. Ta nazwa zobowiązuje. I to na co dzień. Oczyszczone strumyki sopockie i nowe inwestycje nie mają większego sensu, jeśli ludzie, i to wszyscy ludzie, nie będą mogli do nich swobodnie dotrzeć z własnych domów.

Wystarczy zajrzeć do rejestru lekarzy okulistów, by zdać sobie sprawę z wielkości problemu. Sopot, jak każda miejscowość tego typu, jest i pozostanie miastem ludzi starszych. (...) Większość z nich cierpi na choroby oczu, które powodują, iż poruszanie się (w dół) po schodach staje się prawie niemożliwością – po prostu, nie mają pola widzenia pod nogami. Wiem coś na ten temat, bo przez ostatnie lata swojego życia moja Matka zmuszona była jeździć taksówką w celu ominięcia dwóch tuneli dla pieszych u wylotu „Monciaka”. Dobrze, że jej dzieci było na to stać...

Dlatego uważam, że jedynie przez pokazanie światu pewnej unikalności i indywidualności Sopotu, dbałości o komfort ludzi: kuracjuszy, turystów i stałych mieszkańców – ściągniemy na siebie tak bardzo miastu potrzebną uwagę.

A więc nie kopanie tuneli. Sopot rozpaczliwie potrzebuje:

1. najnowocześniejszego systemu zsynchronizowanej sygnalizacji świetlnej wszystkich ulic tego wymagających, sygnalizacji, która uwzględni, m.in., ciągłą zmianę natężenia ruchu;
2. wyraźnego, o światowym standardzie a nie amatorsko wykonanego, oznakowania jezdni, oświetlenia przejść dla pieszych, bezpiecznego oznakowania linii „stopu” dla pojazdów itp.;
3. nowoczesnych znaków drogowych, ustawionych w widocznych miejscach i z pożytkiem dla kierowców, a nie bezmyślnie, ale zgodnie z przepisami;
4. barierek bezpieczeństwa wzdłuż chodników;
5. nowych nawierzchni dla jezdni i chodników oraz tego wszystkiego (np. mini-ronda), co może przyczynić się do stałego zwiększania bezpieczeństwa na drogach i ulicach naszego miasta.

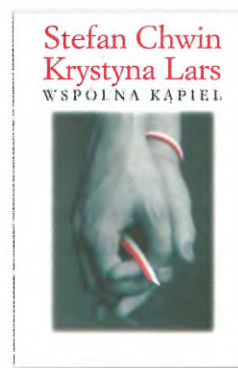
I, jeszcze jeden, bardzo ważny argument „przeciw” tunelowi dla pieszych u wylotu ulicy Marynarskiej. Odpowiednio funkcjonująca sygnalizacja świetlna przy przejściach dla pieszych wzdłuż sopockiego odcinka tej trójmiejskiej arterii w naturalny sposób ogranicza szybkość ruchu kołowego. Bez takich przejść dla pieszych aleja Niepodległości stanie się jeszcze bardziej niebezpieczną „drogą szybkiego ruchu”. Nie ma co się oszukiwać. Na radykalną zmianę kultury zachowania na jezdni oraz na bardziej odpowiedzialną i przez to bezpieczniejszą jazdę większości rodzimych kierowców trzeba będzie jeszcze długo poczekać. A to jest kwestia kilku generacji, nie kilku lat.

Stefan R. Liban

Londyn
stefan@mailbox.co.uk

„Wspólna kąpiel”

„Bohaterem tej książki jest Czas. Zagadka ludzi, rzeczy i zdarzeń, dla których zabrakło miejsca w wielkim Scenariuszu. Zawsze fascynowała nas myśl, że to, co istnieje, jest tylko jednym z wariantów Możliwego. Zobaczyć tę Inność, która sąsiaduje z Rzeczywistym. Zwieźdź ją myślą i sercem. Kto wie, może właśnie wtedy wiedzie jedna z dróg, by trochę lepiej zrozumieć to, co wyda-



rzyło się – jak mówimy – »naprawdę«? – tymi słowami autorzy przybliżają swoją książkę.

A składa się na nią kilkadziesiąt krótkich szkiców, niekiedy wręcz

miniatur, zapisanych w domu pod Gajem Guttenberga przez Stefana Chwina i Krystynę Lars w ostatnim dwudziestolecu XX wieku.

„Przeszłość niezależnie od żalu za utraconym czasem obejmuje tysiąc innych znaczeń: wyraża to wszystko, co mogłoby się stać, a co się nie stało” – ta myśl Mircea Eliade jest jednym z tropów przy czytaniu tej książki.

Tomik wydany został w Bibliotece „Tytułu”.

Takie zbiory

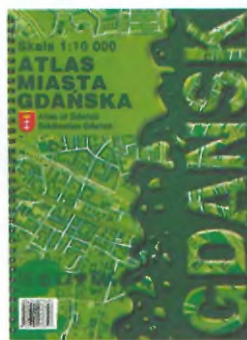
Jest to wprawdzie „tylko” katalog wystawy jubileuszowej, a więc rzecz nieco okazjonalna, ale przecież na jego podstawie możemy sobie uświadomić, jak cenne i bogate zbiory spoczywają w magazynach Archiwum Państwowego przy ulicy Wałowej. Unikalne dokumenty poświadczające hi-

storię miasta i regionu, liczne zdjęcia i niskonakładowe publikacje, pieczęcie, rękopisy i wiele innych archiwaliów udało się uratować, zachować i przechować.

W słowie wstępnym dyrektor archiwum, doktor Aniela Przywuska przybliża dzieje zbiorów i samej instytucji, w setną rocznicę rozpoczęcia działalności Królewskiego



Państwowego Archiwum w Gdańsku.



Gdańsk dokładnie

Forum 44 ponownie wydało atlas Gdańska. Dzięki małej skali (część 1:5000 a część 1:10000) na kilkudziesięciu planach otrzymaliśmy precyzyjne i dokładne plany wszystkich zakąt-

ków miasta. Jest kalendarium historyczne, alfabetyczny spis ulic i informator adresowy, ale przede wszystkim są mapy, na których można odnaleźć wiele ważnych, a niekiedy po prostu potrzebnych szczegółów.

Biuletyn IPN

Biuletyn jest oficjalną publikacją Instytutu Pamięci Narodowej. Jest w nim dokumentowana bieżąca działalność tej instytucji, ale ważnym celem, założonym przez wydawcę, jest też przedstawianie stanu badań historycz-

nych i śledczych, które podejmuje IPN.

W każdym numerze odnajdujemy też informacje i publikacje, które pochodzą z Gdańsku i dotyczą naszego regionu. Przygotowywane są przez gdańskie Oddziały Biuro Edukacji Publicznej.





To **serce** to ja,
a ten **dom** to Ty

Każde dziecko jak powietrze
potrzebuje domu i miłości.
To pozwala spokojnie dorastać,
stać się człowiekiem wolnym
i szczęśliwym, przyjaznym światu
i ludziom. Tylko dom i miłość
chronią przed samotnością,
rozpaczą i nienawiścią.
Fundacja „Rodzina Nadziei”
opiera swój program na
rozumieniu tych potrzeb i te
treści wyraża nasz znak.



Nasze dzieci – anioły, „Betlejem Pomorskie” grudzień '98

*fundacja „**RODZINA NADZIEI**”* – organizacja pozarządowa, działająca od roku 1986, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym w Warszawie w roku 1990.

Formy działania:

- ♥ Prowadzenie wg własnego statutu i koncepcji wychowawczo-terapeutycznych Domów Rodzinnych:
 - w Gdańsku, ul. Grottgera 25
 - w Wejherowie, ul. Sobieskiego 231
 - w Sopocie, ul. Armii Krajowej 68 (świetlica terapeutyczna)
 - w Gdańsku-Chelmie, ul. Dragana 9 (świetlica terapeutyczna)
- ♥ Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy realizujący prorodzinne formy opieki nad dzieckiem (rodziny zastępcze i adopcyjne, pogotowie rodzinne)
- ♥ Obozy dla dzieci i młodzieży łączące wypoczynek wakacyjny z realizacją programów terapeutycznych.
- ♥ Obozy rehabilitacyjne we własnym ośrodku w Stężycy dla dzieci niepełnosprawnych.
- ♥ Budowa ośrodka wypoczynkowo-rehabilitacyjnego w Liniewku, w Sopocie domu terapeutyczno-resocjalizacyjnego dla dzieci silnie zaburzonych wychowawczo.
- ♥ Uroczystości i imprezy uliczne dla dzieci (Piknik Rodzinny, Ulica Serduszkowa, Mikołajki, wigilia, itp.)
- ♥ Współpraca z organizacjami krajowymi i zagranicznymi realizującymi podobny program działań (konferencje, szkolenia)

*fundacja „**RODZINA NADZIEI**”*

Biuro Fundacji – tel./fax 552-10-18

Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy – tel. 554-26-01

Program „Domek” (promocja i współpraca ze sponsorami) – tel./fax 554-26-00

NASZE KONTO: KREDYT BANK PBI S.A. O/SOPOT Nr 15001706-550-121700011229

profilaktyka: zapobieganie (chorobom), ochrona
profit dawn.: korzyść, zarobek, zysk, dochód.
prognostyk: przepowiednia, wróżba, zapowiedź, oznaka, omen.

prognoza: przewidywanie, zapowiedź, przepowiednia.

progresja: (stopniowe) wzrastanie, postęp, wzrost.

progresywny: postępowy, wzrastający, stopniowy.

projekt: 1. plan (działania), program, rozkład; 2. pomysł, zamiar; 3. plan, szkic (np. budowy); 4. *praw.:* (ustawy) propozycja.

projektować ndk.: 1. układać (projekty), planować, preliminarować; 2. zamierzać, przygotowywać, zamyslać na przyszłość, umyslać, mieć zamiar, mieć projekt, nosić się z myślą a. z zamiarem; 3. przedstawiać projekt, robić plany, szkicować.

proklamacja: 1. ogłoszenie, obwieszczenie, odezwa, manifest, apel; 2. ulotka, wezwanie.

proklamować ndk.: 1. podawać do (publicznej) wiadomości, ogłaszać, obwieszczać, oznajmiać, zawiadamiać o czymś; 2. obwoływać, okrzykiwać, zapowiadać.

prokom software: 1. kompleksowe rozwiązania informatyczne, oprogramowanie użytkowe, prace badawczo-rozwojowe, usługi specjalistyczne; 2. człowiek i technologia, strategia działania, spojrzenie w przyszłość, skuteczność; 3. *oferta:* systemy wspomagające zarządzanie przedsiębiorstwem, integracja systemów komputerowych; 4. *patrz:* zdobywać, skuteczność, gwarancja, idea, możliwości;

promieniować ndk.: 1. emitować a. wysyłać energię, wydzielać a. emanować ciepło; 2. *przen.:* jaśnieć, świecić, pałać; 3. (o bólach, bodźcach)